Nr 19 (285) 11. V 1954 r. Cena 35 gr

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

DZIŚ w numerze

- List i sesja str. 3
- Jezioro Łabędzie str. 4
- Refleksje osobiste str. 5
- Rozmawiamy o programach studiów str. 6

VII Wyścig Pokoju zorganizowany przez centralne organy trzech bratnich Partii — „Trybunę Ludu", „Rude Pravo" i „Neues Deutschland" idzie naprzód wielkimi blisko dwustukilometrowymi krokami. Na całej trasie witają go z entuzjazmem tysiące ludzi. Wszystkich porwała atmosfera tej największej amatorskiej imprezy kolarskiej świata, atmosfera przyjaźni i braterstwa.

Pierwsze cztery etapy rozegrane na ziemi polskiej zakończyły się wspaniałym sukcesem reprezentacji Polski. Nasi reprezentanci już na pierwszym etapie dookoła Warszawy zdobyli zaszczytny tytuł drużynowego przedownika wyścigu i błękitne koszulki z gołębiem pokoju. Niezwykle ambitnie walczyli kolarze polscy zwyciężając zespołowo również na drugim i czwartym etapie. Trzeci etap w Stalinogrodzie zakończył się sukcesem doskonałej drużyny belgijskiej.

I nie tylko zespołowo, ale i indywidualnie triumfowali polscy kolarze. Mieczysław Wilczewski — student Akademii Medycznej w Rokitnicy zdobył tytuł przodownika wyścigu. Młodziutki Eligiusz Grabowski okazał się podporą drużyny. Władysław Klabiński — indywidualny zwycięzca etapu Łódź — Stalinogród również zajmuje miejsce wśród czołowych kolarzy VII Wyścigu Pokoju.

Sukcesy naszej drużyny są niewątpliwe i tym bardziej radosne, że dość niespodziewane. Nie trzeba jednak snuć zbyt różowych horoskopów. Wyścig trwa i dalsze trudne etapy na ziemiach NRD i Czechosłowacji mogą przynieść poważne zmiany w kolejności tak indywidualnej jak i zespołowej. Stawka kolarzy 19 drużyn jaka bierze udział w wyścigu jest silna. Belgia, CSR, Dania, Holandia, ZSRR — każda z tych drużyn może pretendować do pierwszeństwa. Utrzymać tytuł przodownika wyścigu jest to równoznaczne z sięgnięciem po tytuł mistrza Europy w kolarstwie szosowym.

Bez względu na to jak dalej potoczą się losy wyścigu, która drużyna nałoży błękitne koszulki, to co do tej pory osiągnęli nasi kolarze zasługuje na poklask i uznanie (w)

Foto CAF

Z Poręby do AGH jest bardzo blisko

TADEUSZ JASZCZYK

Odkąd pamiętają — nad Porębą wznosił się zawsze pałac hrabiostwa Szembeków. Pałac wraz z pięknym parkiem leżał przy szosie. Niżej, również przy szosie stanął kościół z obszerną plebanią i kilka bogatszych chałup. Za plebanią wznosił się murowany, piętrowy dom, w którym mieszkały zakonnice. To była też Poręba, ale chyba Poręba nie Żegoty — drwala, który tu przed wiekami wykarczował oporną puszczę — lecz Poręba pańska.

Wioska rozproszyła się drewnianymi chałupami na zboczach zielonej kotliny. Niżej, tuż nad grzęzawiskiem łąk, przez które płynie leniwy strumień, prowadzi polna, błotnista droga.

Przez szosę chodziło się wczesnym świtem do pracy na hrabiowskich polach. Przez szosę szło się do kościoła, który uczył uległości wobec hrabiowskiego dworu. W nagrodę za zbożne życie jechało się szosą na ogrodzony murem z potnych kamieni cmentarz. Szosą wreszcie przemykała od czasu do czasu elegancka limuzyna hrabiego Jana, który był prawą ręką pana Becka przy rządzie jaśniepańskiej rzeczypospolitej w Warszawie. Gdy przepadły hrabiostwu bezkresne dobra na Ukrainie, odczuł to nie tylko młody hrabia, ale również mieszkańcy Poręby — Żegoty, którym coraz częściej zamiast gotówką płacono za pracę „dobrym słowem". Chyba Pan Bóg spieszył im w niebie zapłacić, bo często musiał grabarz Pierzchała leźć z łopatą na ogrodzony murem cmentarz.

Jeszcze przed wojną do Poręby przeciągnięto światło elektryczne. We dworze rozmigotały się misterne żyrandole, a na ścianie kościoła rozbłysła żarówkami figura Matki Boskiej. Sklepikarz mieszkający naprzeciw kościoła również przeprowadził sobie światło, boć zawsze to łatwiej sprzedawać monopolówkę przy elektrycznej żarówce.

Mały Franek Ziarkowski przygnawszy do domu krowę, biegł pod kościół podziwiać Najświętszą Panienkę jaśniejącą w świetlistej aureoli zrobionej z 25-watowych żarówek.

W czterdziestym piątym roku spłonął hrabiowski pałac. Hrabia Szembek siedział w Londynie i pisał pamiętniki, a dwie hrabianki kupiły sobie kozy i wypasały je w rowach przy porębskiej szosie. Chłopi z kotliny poszli pracować do fabryki chemicznej w Alwernii. Franek Ziarkowski zapisał się do gimnazjum w Chrzanowie.

Minęło parę lat i w ocalałej części pałacu umieścił się zarząd spółdzielni produkcyjnej, a robotnicy Alwernii pomagali chłopom z kotliny przeciągnąć przewody do szkoły. Zelektryfikowania całej wioski nie umieszczono jeszcze w planach nadrzędnych instancji. Franek Ziarkowski pojechał do Krakowa kształcić się na inżyniera.

Franek jest studentem wydziału mechanizacji górnictwa krakowskiej AGH. W każdą sobotę wieczorem przyjeżdża z Krakowa do swojej wsi. Gdy idzie od Kwaczały, ze stacji — widać w dolinie rozrzucone chałupy Poręby. Wieczorem migają gdzieniegdzie oświetlone naftą żółte prostokąciki okien. Tylko nurzająca się w blasku elektrycznego światła Matka Boska na kościele nie dawała spokoju i Franka brała zazdrość — gdybyż to jego żywa matka mogła tak sobie siąść przy stole w świetle elektrycznej żarówki.

W niedzielne popołudnia, gdy łaził bez celu po wsi, spotykał się czasem z Krzyśkiem Kałamackim który pracował w biurze projektów Nowej Huty.

— Jak uważasz, Krzychu — zagadywał go wtedy — nie moglibyśmy to obaj postarać się w Krakowie, by nam założyli światło w Porębie?

— To jest rzeczywiście dobra myśl — zgadzał się Krzych i obaj snuli głośne marzenia o tym, jak to Franek kupi matce radio „Pionier", a do ręcznej sieczkarni zamontuje się motor elektryczny.

Franek należy do tych ludzi, u których w parze z pomysłem idzie czyn. Gdzieś tak w zimie odwiedził dział planowania i inwestycji w wydziale rolnictwa krakowskiej WRN, ale tu przyszło pierwsze rozczarowanie. Powiedziano mu, że powiat Chrzanów objęty był planem elektryfikacji w poprzednich latach, a obecnie inwestycje przerzucono na inne powiaty, że niezelektryfikowane w chrzanowskim wsie muszą poczekać kilka lat.

Franek Ziarkowski nie dał jednak za wygraną — a gdyby tak studenci w ramach zobowiazania zelektryfikowali Porębę — Żegoty?

Któż w Krakowie nie zna posła do sejmu PRL — prof. Witolda Biernawskiego, któż więcej doświadczył jego gospodarskiej opieki od młodzieży studenckiej.

Franek wyłuszczył profesorowi cel swojej wizyty. Ten starszy siwy towarzysz zapalił się nie mniej od swego rozmówcy do ambitnego projektu.

W kilka dni później Ziarkowski zapakował do teczki solidną wałówkę i sporządzoną w ciągu ostatnich nocy próbną dokumentację na przeciągnięcie linii. Po nieprzespanej nocy w zatłoczonym pociągu znalazł się przy Placu Trzech Krzyży w Warszawie.

Zaczęły się wędrówki Franka od urzędu do urzędu w Warszawie, Krakowie i w powiatowym Chrzanowie. Ciężko przebijał się Frankowy projekt przez zwały segregatorów, kartotek i instrukcji, zanim z dziesiątkami pieczątek, podpisów i rejestracyjnych numerków, przerodził się w studencki czyn zjazdowy.

A Franek Ziarkowski? We dnie biegał od wydziału inwestycji rolnictwa do przedsiębiorstwa elektryfikacji wsi, stamtąd do Zakładu Sieci, z Zakładu Sieci do KW PZPR i na rozmowy z prof. Biernawskim. Wieczorami wraz z Adamem Glazurem, Niedźwiedziem i Gilem — kolegami z wydziału elektryfikacji — siedzieli nad szczegółową dokumentacją. Pomagał im w tej pracy inż. Żurakowski z AGH.

Mechanizacja a elektryfikacja to jednak różne działy. Franek wracał od inżyniera Żurakowskiego obładowany fachowymi podręcznikami i do świtu studiował potrzebną mu w praktyce elektryfikacyjnej teorię.

Wreszcie 21 marca w jednej z sal szkoły podstawowej w Porębie — Żegoty zeszli się mieszkańcy gromady na zebranie w sprawie założenia w chałupach światła elektrycznego.

Za elektryfikacją swych zagród wypowiedziało się 24 mieszkańców. Wahał się tylko jeszcze Zieliński, a jedynie Graboś powiedział kategorycznie nie. — Kto ich tam wie tych studentów — myślał sobie pewnie — czy naprawdę potrafią przeprowadzić linię, po co się do tego mieszać, kiedy wróbla w garści jeszcze nie ma, no i po co płacić za materiał. Może czekał, by zwolniono go z opłaty, tak jak dwie biedne wdowy — Agnieszkę Bielę i Anielę Wdówkę — kto go tam wie.

„Mieszkańcy opowiadający się za elektryfikacją zobowiązują się zakwaterować i utrzymać studen-

(dokończenie na str. 3)

Foto Janusz Dylewski

Inżynier żywienia zbiorowego — ale jaki?

Kiedy inżynier Cichobłaziński rozpoczął pracę w Centralnym Zarządzie Przemysłu Gastronomicznego — wydawało się, że jako absolwent wydziału technologii żywienia zbiorowego częstochowskiej WSE łatwo da sobie radę. Wkrótce okazało się jednak, że tak nie jest. Inżynier ten pracując na stanowisku kierownika sekcji nadzoru technicznego CZPG stawał prawie bezradny wobec takich zagadnień, jak remonty urządzeń w zakładach gastronomicznych, mechanizacja tych zakładów czy eksploatacja różnych typów maszyn w przedsiębiorstwach żywienia zbiorowego.

Podobne kłopoty mieli inni absolwenci tej uczelni. Inżynier Podsiadło z Łódzkich Zakł. Gastronomicznych szczególnie borykał się z zagadnieniami kontroli technicznej, inżynier Doryn z CZPG po ukończeniu uczelni był, według własnych słów, „półfabrykatem", który dopiero w pracy zawodowej konfrontował teorię zdobytą na uczelni z praktyką.

Z wielu takich przykładów łatwo wyciągnąć wniosek, że kształcenie wysoko kwalifikowanych kadr dla żywienia zbiorowego posiada jeszcze poważne braki. Ale to sprawa nieprosta. Żywienie zbiorowe jest u nas przemysłem nowym, nie może korzystać z wypróbowanych już form organizacyjnych. Z drugiej zaś strony przemysł gastronomiczny różni się od każdej innej dziedziny gospodarki wieloma specyficznymi momentami (produkcja i obrót towarowy odbywają się równocześnie, wyjątkowo krótki cykl produkcyjny, jednoczenie szeregu czynności produkcyjnych wykonywanych przez jednego pracownika itd. itd.).

Stąd też na uczelnię spada trudny obowiązek wypracowania nowych form pracy i organizacji tego przemysłu, a co ważniejsze — wypracowania form i metod szkolenia wysoko kwalifikowanej kadry dla żywienia zbiorowego. To ostatnie zagadnienie było przedmiotem kilkudniowej konferencji, która odbyła się ostatnio na częstochowskiej WSE.

Inżynier Słabikowski mówił o tym, co dała mu uczelnia. Przede wszystkim — wiedzę marksistowską, dzięki której rozumie po co i jak trzeba pracować, jak kierować powierzonym mu odcinkiem. Dalej — teorię żywienia zbiorowego, częściowo znajomość jego struktury i inne ogólne wiadomości, na pewno niezbędne dla każdego absolwenta tego wydziału.

Ale czy to wszystko wystarcza? Okazało się, że nie. W praktyce każdy absolwent spotykał się z zagadnieniami, o których na uczelni mówiło się bardzo mało.

Co prawda inżynier Słabikowski jest dzisiaj dyrektorem Nowohutnickich Zakładów Gastronomicznych, podobnie poważne stanowiska zajmuje wielu innych absolwentów. Jednak uczelnia bynajmniej nie nastawiała się na „produkcję" dyrektorów, lecz kształci ona specjalistów do rozwiązywania problemów technologicznych, a znających w niezbędnym dla praktyki zakresie zagadnienia ekonomiki żywienia zbiorowego.

Jakim wymogom powinien więc odpowiadać absolwent wydziału technologii żywienia zbiorowego? Oczywiście musi on być uzbrojony w podstawy ekonomii nauk ogólnych pozwalających na należyte kierowanie pracą przedsiębiorstwa; powinien posiadać znajomość zasadniczych procesów, surowców i maszyn, z którymi spotka się w swej pracy; winien być wreszcie wyposażony w podstawowe wiadomości pozwalające na rozwiązanie bieżących zagadnień praktycznych. Właśnie ze spełnieniem tego ostatniego wymogu było dotychczas najgorzej.

Ale czy słuszne były wszystkie zarzuty o nieprzydatności absolwentów dla praktyki? Niektóre z nich sprowadziłyby rolę uczelni do kształcenia... wykwalifikowanego kucharza posiadającego tytuł inżyniera. Zarzuty takie odparł naczelny dyrektor CZPG, tow. Stala mówiąc na konferencji, że inżynier-technolog nie musi opanować technologii przyrządzania potraw w stopniu pozwalającym mu na zastąpienie kucharza, ale winien umieć racjonalnie, w oparciu o podstawy naukowe, organizować proces produkcji.

A więc jasno i wyraźnie sprecyzowano zadania dla uczelni. Z tym wiąże się bezpośrednio sprawa programów nauczania, które bardziej muszą odpowiadać w swej treści wymogom stawianym absolwentowi przez praktykę.

Główną wadą dotychczasowych programów były niewłaściwe proporcje ilościowe godzin z poszczególnych dyscyplin, wynikające przede wszystkim z tego, że zbyt wiele czasu poświęcono na nauki ogólnoekonomiczne, kosztem nauk technicznych. Braki, jakie stąd wypływają, widzieliśmy na przykładzie niektórych absolwentów. Niezbędne też jest takie opracowanie nowych programów nauczania, które rozwiązywałoby rozbieżności korelacyjne pomiędzy poszczególnymi dyscyplinami jak na przykład fizyką i chemią a towaroznawstwem.

Najważniejsze jest jednak to, aby nowy program nauczania ściślej powiązał materiał wykładany z praktyką. Przy opracowaniu nowego programu nauczania konieczny jest udział praktyków — pierwszym krokiem w tym kierunku była właśnie kwietniowa konferencja.

Dużo mówiło się na konferencji o tym, że absolwent, dla którego opracowany zostanie program nauczania, opuści uczelnię dopiero za cztery lata. Nic dziwnego więc, że zostały przed nimi wytyczone zadania „na wyrost" — przede wszystkim na wsi, która dotychczas pod względem rozwoju i organizacji żywienia zbiorowego jest jeszcze „białą plamą".

Rozwój żywienia zbiorowego na wsi będzie miał poważny wpływ na poprawę warunków bytowych rolników, m. in. przez odciążenie poważnej ilości kobiet pracujących dotąd w gospodarstwach domowych. Praca aparatu żywienia zbiorowego w rolnictwie jest jednak specyficzna ze względu na sezonowość, rejonizację placówek żywienia według potrzeb terenowych itd. Te zagadnienia nie znalazły dotąd głębszego naukowego opracowania, a teraz stanowią wdzięczne pole do popisu dla kolektywu częstochowskiej WSE i jej absolwentów.

Szkoda byłoby, gdyby sformułowania i wnioski z konferencji utknęły w notatkach jej uczestników i nie stały się drogowskazem w kształceniu młodych kadr dla przemysłu żywienia zbiorowego.

ZBIGNIEW SWOBODA

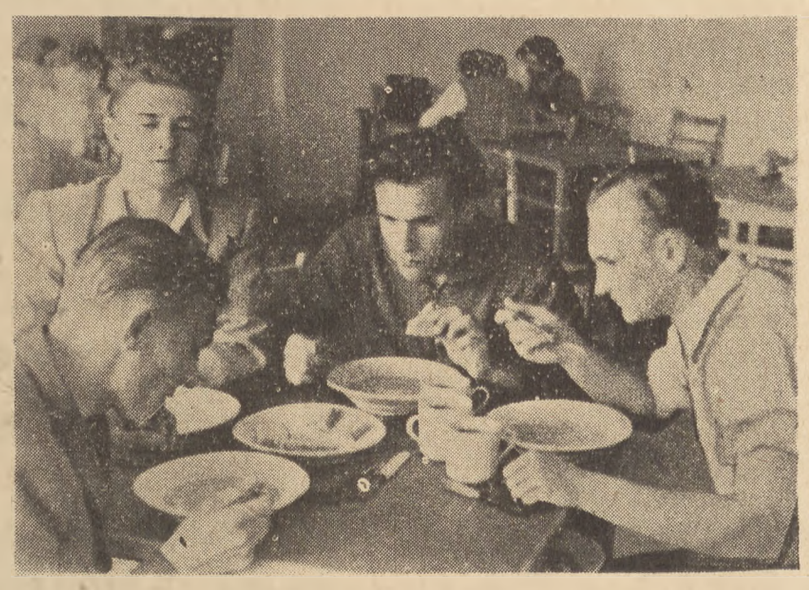

Personel stołówek w domach studenckich Częstochowy musi dołożyć szczególnych starań, aby pod każdym względem dogodzić swym konsumentom — bądź co bądź fachowcom.

Aby zostać inżynierem - technologiem żywienia zbiorowego trzeba wiele godzin spędzić nad probówkami w laboratoriach. Na zdjęciu: grupa C II roku podczas ćwiczeń z towaroznawstwa.

HENRYK KASSYANOWICZ

Sromotna rejterada

Gdy minister Dulles wybierał się do Genewy, prasa amerykańska zapowiadała, iż nie zabawi on tam dłużej niż dwa tygodnie, tj. do 15 maja. Okazało się wszakże, że już wcześniej minister Dulles mógł się całkowicie przekonać, jak dalece jego stanowisko w Genewie było odosobnione i pozbawione poparcia nawet najbliższych sojuszników. Toteż nie pozostawało mu nic lepszego jak po prostu po tygodniu spakować manatki i pozostawiając w Genewie swego zastępcę, byłego ambasadora USA w Moskwie, byłego szefa amerykańskiego wywiadu Bedell Smitha, udać się w drogę powrotną do Waszyngtonu. Aby tam z kolei — jak pisał dziennik amerykański „New York World Telegram" — stanąć w obliczu „bolesnego zadania poinformowania prezydenta o przyczynach niepowodzenia polityki amerykańskiej". Jakież są te przyczyny? Gdzie tkwi źródło tej porażki Dullesa w Genewie?

A no w tym, że od pierwszego niemal dnia obrad okazało się wyraźnie, iż mimo olbrzymich wysiłków, zabiegów, presji i pogróżek nie udało się amerykańskiemu sekretarzowi stanu zmusić francuskiego i angielskiego kolegi do poparcia jego stanowiska; przeciwnie, każdy dzień obrad pogłębiał różnicę między nimi.

Zaznaczyło się to choćby w podkreślanym z goryczą przez prasę amerykańską fakcie, że ani Eden, ani Bidault nie zabrali głosu w dyskusji nad sprawą koreańską, pozostawiając zadanie popierania Dullesa ministrowi spraw zagranicznych reżimu lisynmanowskiego.

Zaznaczyło się to np. w zapewnieniu Churchilla, że Wielka Brytania nie zaciągnęła wobec USA w związku z konfliktem w Indochinach żadnych nowych zobowiązań wojskowych. Dał temu wreszcie wyraz minister Eden, stwierdzając dyplomatycznie w odpowiedzi na pytanie korespondentów prasowych — czy nie zamierza pójść w ślady Dullesa — iż „...bardzo dobrze czuję się nad jeziorem Lemańskim".

Również minister Bidault, mimo iż bardzo chciałby dogodzić Dullesowi, nie zdobył się na otwarte poparcie jego stanowiska. A no, zrozumiałe. W chwili bowiem, gdy został zdobyty fort Dien-Bien-Fu przez Wietnamską Armię Ludową, stawianie Wietnamskiej Republice Demokratycznej ultimatum, do którego sprowadzają się w istocie plany amerykańskie, wydało się zagrożonemu kryzysem rządowi Laniela żartem nieco makabrycznym.

— Wam idzie o kauczuk, cynę, miedź itd. a nam idzie o życie — brzmi mniej więcej argumentacja francuskiej prasy prorządowej. Oczywiście, nie o życie ginących w Indochinach żołnierzy francuskich, bo tych rząd francuski poświęcił już niemało, lecz o życie polityczne tej garstki burżuazyjnych polityków, którzy wysługując się imperializmowi amerykańskiemu doprowadzili Francję na skraj przepaści i dziś obawiają się odpowiedzialności. Jak zaś wiadomo, ministrowi Bidault należy się wśród nich jedno z czołowych miejsc.

Przysłowiową oliwą dolaną do ognia było stanowisko zajęte przez premierów Indii, Pakistanu, Indonezji, Burmy i Cejlonu na konferencji w Colombo. Cokolwiek bowiem można powiedzieć o wydanym przez nich po zakończeniu obrad komunikacie, a pamiętać trzeba, iż są to politycy burżuazyjni, jasne jest jedno. To mianowicie, że musieli oni wypowiedzieć się kategorycznie i za natychmiastowym zaprzestaniem działań wojennych w Wietnamie i za trwałym pokojowym uregulowaniem sprawy Korei i za przyjęciem Chin Ludowych do ONZ, a przeciwko panoszącemu się w Azji Wschodniej kolonializmowi mocarstw zachodnich.

W tych warunkach zrozumiałe jest, że bilansując dotychczasowy przebieg obrad genewskich, amerykański dziennik „New York Daily Mirror" musiał stwierdzić: „Jasne jest już, że konferencja genewska z amerykańskiego punktu widzenia stanowi fiasko. Stanowisko USA wobec obu zagadnień (koreańskiego i indochińskiego) jest odizolowane. Wygląda na to, że USA może stanąć w Genewie w roli kraju całkowicie odizolowanego lub być zmuszone do przyjęcia żądań Czou-En-laia".

Aby tego uniknąć, Dulles po prostu zrejterował. Ale właśnie ta sromotna ucieczka Dullesa, niezależnie od dalszego przebiegu konferencji, dowodzi najlepiej jak głęboko słuszne i trafiające do przekonania jest stanowisko reprezentowane na konferencji przez ministrów Mołotowa, Czou-En-laia i Nam-Ira. Pisząc, że „delegacja amerykańska usiłując zignorować przemówienie Czou-En-laia, traci z oczu fakt, że zarówno Mołotow jak i Czou-En-lai zdobywają sobie uznanie milionów ludzi w Azji, w Afryce i w Europie" — cytowany już wyżej „New York World Telegram" podkreślił tylko prawdę, której żadne wybiegi nie potrafią zmienić. A mianowicie, iż jak oświadczył minister Mołotow — „narody Azji mają całkowite prawo do decydowania o swoim losie", a ten kto głuchy jest na tę prawdę, poznaje ją na własnych doświadczeniach. Tak jak poznał ją imperializm amerykański w Korei, francuski w Wietnamie, a angielski na Malajach.

Oto dlaczego ministrowi Dullesowi nie udało się pozyskać rządu brytyjskiego dla awanturniczych planów w Azji, a minister Bidault znajdujący się pod naciskiem opinii publicznej swego kraju obawia się wrócić do Paryża bez zawieszenia broni w Wietnamie. Oto dlaczego, jak pisał dziennik „France Soir" — „jedność zachodnia w Genewie trzeszczy w posadach", a natomiast krok za krokiem zdobywają sobie grunt słuszne, logiczne, prowadzące do pokojowego rozwiązania spornych problemów propozycje ministrów Mołotowa, Czou-En-laia i Nam-Ira. Walka przeciwko tym propozycjom przy pomocy oszczerstw, inwektyw i pogróżek podobna jest do nieumiejętnego rzucania bumerangiem, który nie osiągnąwszy celu wraca i uderza w łeb niefortunnego miotacza. Doświadczył tego na sobie właśnie minister Dulles.

Oczywiście pamiętać należy, że wyjeżdżając z Genewy, Dulles pozostawił tam Bedell Smitha, że marionetki amerykańskie — przedstawiciele reżimu Korei Południowej i cesarza Bao-daia — można również z Waszyngtonu pociągać za sznurek i że wreszcie Stany Zjednoczone nie zrezygnowały bynajmniej z wywierania dalszego nacisku na Wielką Brytanię i Francję. W każdym razie jasny jest już dziś fakt, że amerykańskie plany wykorzystania konferencji genewskiej dla zmontowania wspólnego frontu przeciwko Chinom Ludowym i walczącym o swą wolność narodom Azji, dla podsycenia antykomunistycznej histerii, zawiodły.

Przed sądem HISTORII

Przedstawiamy Wam garść obrazków z działalności politycznej Watykanu w latach drugiej wojny światowej.

OBRAZEK PIERWSZY

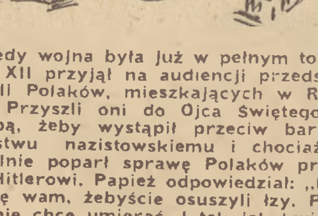

Kiedy wojna była już w pełnym toku, Pius XII przyjął na audiencji przedstawicieli Polaków, mieszkających w Rzymie. Przyszli oni do Ojca Świętego z prośbą, żeby wystąpił przeciw barbarzyństwu nazistowskiemu i chociażby moralnie poparł sprawę Polaków przeciw Hitlerowi. Papież odpowiedział: „Nie mówię wam, żebyście osuszyli łzy. Polska nie chce umierać. I tak jak kwiaty waszej ziemi, które oczekują pod grubą warstwą śniegu delikatnego powiewu wiosennego, tak samo wy powinniście czekać godziny niebieskiego pocieszenia". To było wszystko, co Ojciec Święty uważał za stosowne powiedzieć „najbardziej katolickiemu narodowi na świecie" w okresie jego ciężkich prób.

OBRAZEK DRUGI

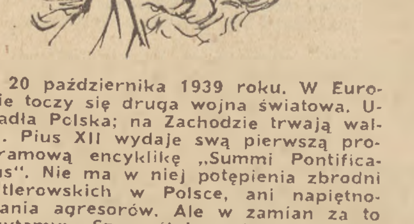

20 października 1939 roku. W Europie toczy się druga wojna światowa. Upadła Polska; na Zachodzie trwają walki. Pius XII wydaje swą pierwszą programową encyklikę „Summi Pontificatus". Nie ma w niej potępienia zbrodni hitlerowskich w Polsce, ani napiętnowania agresorów. Ale w zamian za to czytamy: „Szczególnie raduje się serce nasze tym, że w pierwszej swojej encyklice, z którą zwracamy się do całego chrześcijańskiego świata, możemy postawić na czele narodów umiłowane nasze Włochy, wiernego stra żnika wiary".

OBRAZEK TRZECI

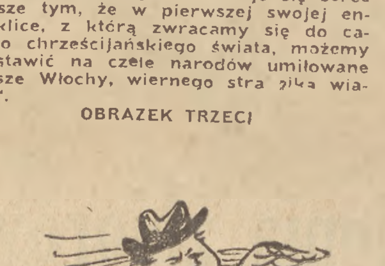

1 listopada 1939 roku. Pius XII kieruje orędzie do katolików Stanów Zjednoczonych. Czytamy w nim: „Historia wszystkich czasów uczy nas, że zawsze byli bogaci i biedni, że bogaci i biedni zawsze będą, oto wniosek, który wyciągamy z niezmiennych właściwości natury ludzkiej. Biedni zajmują u Boga poczesne miejsce. Im obiecane jest królestwo niebieskie i oni mogą łatwiej wzbogacić się łaskami nadprzyrodzonymi. Jednakże i bogaci, jeżeli postępują sprawiedliwie i uczciwie, są jedynie szafarzami boskich darów ziemskich... Bóg, doskonale rządzący losami naszymi, ustanowił, że będą na świecie bogaci i biedni, aby lepiej wypróbować nasze ludzkie cnoty".

O wojnie nie ma w orędziu ani słowa.

OBRAZEK CZWARTY

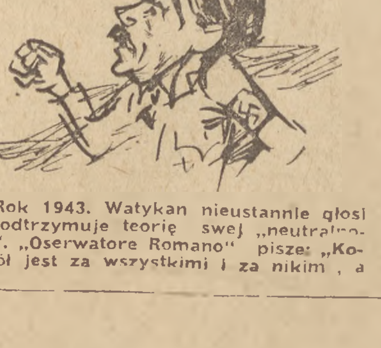

Rok 1943. Watykan nieustannie głosi i podtrzymuje teorię swej „neutralności". „Oserwatore Romano" pisze: „Kościół jest za wszystkimi i za nikim, a papież żąda, by „oddać, co boskie Bogu, a co cesarskie Cesarzowi". Oznaczało to: żołnierze — katolicy wszelkich formacji faszystowskich mają obowiązek dochować wierności Hitlerowi i Mussoliniemu.

OBRAZEK PIĄTY

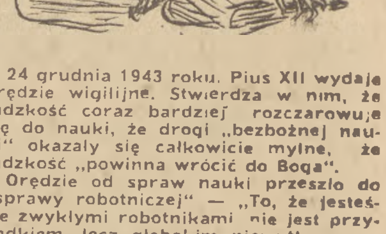

24 grudnia 1943 roku. Pius XII wydaje orędzie wigilijne. Stwierdza w nim, że ludzkość coraz bardziej rozczarowuje się do nauki, że drogi „bezbożnej nauki" okazały się całkowicie mylne, że ludzkość „powinna wrócić do Boga".

Orędzie od spraw nauki przeszło do „sprawy robotniczej" — „To, że jesteście zwykłymi robotnikami nie jest przypadkiem, lecz głębokim niewytłumaczonym przeznaczeniem boskim. Nieszczęśliwi ci, którzy pokładają nadzieję w radościach życia doczesnego — trzeba znosząc jego cierpienia, pamiętać o tym, że otrzyma się za to nagrodę w niebie".

A więc i w czasie przełomowych lat wojny papież nie zapomniał o swojej zasadniczej i bezpośredniej działalności „ideologicznej": oszukiwania i skłaniania do uległości robotników, nie zrezygnował z pełnych nienawiści wystąpień przeciwko nauce.

OBRAZEK SZÓSTY

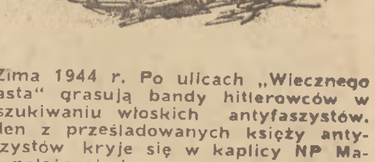

Zima 1944 r. Po ulicach „Wiecznego Miasta" grasują bandy hitlerowców w poszukiwaniu włoskich antyfaszystów. Jeden z prześladowanych księży antyfaszystów kryje się w kaplicy NP Marii, należącej do suwerennego państwa papieskiego. Esesmani telefonują do Watykanu z prośbą o pozwolenie otoczenia kaplicy. Zezwolenie wydano.

Gdy w 3 miesiące później antyfaszyści stracili we Florencji głównego faszystowskiego „filozofa" — ministra oświaty Mussoliniego, w/g wzoru Gentile, „Oserwatore Romano" wyraził swe oburzenie dla tego sprawiedliwego wyroku ludu włoskiego.

OBRAZEK SIÓDMY

Wojna zbliża się ku końcowi. Badając opinię publiczną świata w związku ze straceniem Mussoliniego nowojorski „Daily Worker" z 1. V. 1945 r. pisał: „Watykan jest jedyną organizacją polityczną, która ośmieliła się otwarcie wyrazić żal, że zastosowano wobec Mussoliniego tę formę wymiaru sprawiedliwości".

— A to, co było po zakończeniu wojny pamiętacie dobrze sami — podczas jej trwania, wśród ogromu popełnionych zbrodni, „znikały jakoś" z pola widzenia niektóre z nich. A pamiętać je trzeba. Pamiętać i sądzić w sumieniu patrioty, w sumieniu człowieka.

✦

Przytoczone wyżej fakty pochodzą z wydanej niedawno książki Scheinmana „Watykan w latach drugiej wojny światowej". Wartość jej polega na tym, że dostarcza bardzo obszernego materiału dla prokuratora, jakim jest historia — materiału udokumentowanego. Nie jest pisana w sposób obliczony na sensację, zawarty w niej materiał mówi sam za siebie. Odkrywa kulisy wielu posunięć Watykanu, pozwala lepiej i głębiej dojrzeć jego funkcję społeczną. Oskarża. Daje systematyczny wykład historii Watykanu w okresie drugiej wojny światowej.

J. K.

Bez komentarzy

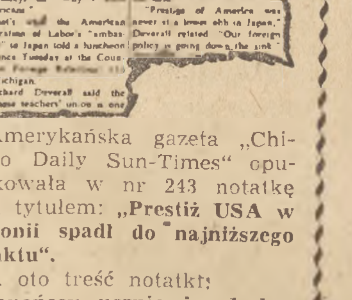

Amerykańska gazeta „Chicago Daily Sun-Times" opublikowała w nr 243 notatkę pod tytułem: **„Prestiż USA w Japonii spadł do najniższego punktu".**

A oto treść notatki:

Japońscy uczniowie, doskonaląc się w sztuce wymowy, opracowują essaye na temat „dlaczego nienawidzę Amerykanów".

O wypadkach tych doniósł „poseł" AFL *) w Japonii podczas wtorkowego zebrania w Radzie Stosunków Zagranicznych w Chicago przy ul. S. Michigan 116.

Richard Deverall oświadczył, że japoński związek zawodowy nauczycieli jest jednym z głównych elementów fali antyamerykanizmu, która ogarnia cały kraj.

„Prestiż USA — powiedział Deverall — nigdy jeszcze nie upadł tak nisko. Naszą politykę zagraniczną spotkał krach".

*) AFL — American Federation of Labour — reakcyjna centrala wielu związków zawodowych w USA — red.

al. es.

Pracujmy dla następnej...

W przeddzień święta majowego Warszawa otrzymała jeszcze jeden powód do radości. I nie tylko Warszawa. Komunikat radiowy o godz. 12 w południe przyniósł wiadomość o kolejnej obniżce cen. Zastanawiałem się w kilkanaście minut później, jak to się dzieje, że mówi już o tym całe miasto, choć każdy o tej porze pracuje, a aparaty radiowe w pokojach biurowych są raczej rzadkością. Okazuje się jednak, że radość ludzka jest równie zaraźliwa jak śmiech, a niewiele wolniejsza od fal elektromagnetycznych. I nie ma w tym nic dziwnego, jeśli się weźmie pod uwagę, że — mówiąc stylem kolegów prawników — podmiotami tej radości jesteśmy my sami, wielomilionowa rzesza ludzi wolnych i zwartych wokół jednej sprawy: budownictwa lepszego życia. Zwrot ten już tak często był używany na łamach naszej prasy i w przemówieniach, że stracił wiele ze swej świeżości i bezpośredniości. Jednak o całej głębi jego treści przypominają nam stale fakty, będące wyrazem polityki Partii. Otrzymaliśmy jeszcze jeden — jakże miły! — dowód tego, że słowo Partii jest święte; że hasło wysuwane przez Partię zawsze, a od IX Plenum na pierwszym planie — hasło podniesienia naszego dobrobytu na drodze budownictwa socjalistycznego, to nie tylko wysmukłe kominy Jaworzna czy marteny Nowej Huty, ale również i przede wszystkim tańsze masło lub ładniejsza sukienka. Lecz kiedy się o tym myśli, trzeba zawsze mieć na uwadze zależność ładnej i taniej sukienki od pojemności nowohutnickich martenów.

Zniżka przyniosła nam wielkie korzyści. Byłoby jednak nieprawdopodobnym uproszczeniem, gdybyśmy chcieli twierdzić, że dokonała ona w naszym życiu jakiegoś zasadniczego przełomu. Przełom ten, którego osiągnięcie jest celem wytycznych II Zjazdu, może nastąpić tylko w wyniku naszej usilnej, coraz lepszej i wydajniejszej pracy. Zniżka przeprowadzona obecnie jest jednym z ważnych etapów tego wszechstronnego procesu rozwojowego naszego społeczeństwa, jest drogowskazem w przyszłość, jest bodźcem dla nas — twórców własnego dobrobytu. Albowiem z tego, co powiedzieliśmy, wynika niedwuznacznie, że jesteśmy w okresie przed następną obniżką cen. Od nas w pierwszym rzędzie zależy, by nastąpiła ona jak najszybciej.

STANISŁAW ALBINOWSKI

dom $ TOWAROWY $

Na paryskim bruku

Właściwie to nie na bruku, lecz na wytwornym parkiecie jednego z salonów, w którym odbył się niedawno paryski przegląd mody. Zademonstrowane tam eksponaty nie ustępowały wiele w pomysłowości osiągnięciom Hollywood. Oto „najpiękniejsza maska sezonu" pod nazwą „ślimacza twarz". Model ten, sądzimy, nie jest pozbawiony pewnej wymowy ideologicznej, jako że skojarzenie pustej muszli po małży z główką paryskiej girl jest charakterystyczne dla wielu dam, i nie tylko dam, wielkiego świata dolara. A oto inny model, niemniej symboliczny. Ta dama ma w kolczyku ptaszka. Fakt, że pomysł ten znalazł uznanie, dowodzi, że ptaszki są immanentną cechą głów wielu przedstawicieli francusko - amerykańskiej burżuazji.

I nie ma się czemu dziwić. Można rzeczywiście oszaleć. Albowiem to, co się dzieje na gorącym, prawdziwie paryskim bruku jest coraz mniej przyjemne dla tych, którzy nie wiedzą na co wydawać pieniądze.

al. es.

Student – szpieg

Jak podała w lutym br. „Democratie Nouvelle", pan Hubert Brounwell, minister sprawiedliwości USA, zwrócił się z apelem do studentów amerykańskich uniwersytetów. Oto co powiedział pan minister sprawiedliwości: „Macie dość dużo wolnego czasu i dość dużo chęci na to, by zarobić trochę pieniędzy. Z drugiej zaś strony są w waszych uniwersytetach ludzie, mający tendencję do myślenia własną głową (!) i stanowiący duże niebezpieczeństwo (!!) dla państwa. Nadzór nad nimi będzie dla was miłym (!) spędzaniem czasu. Będziecie za to dobrze opłacani".

„Student-żebrak" to zjawisko typowe dla całego świata kapitału. Lecz student-szpieg — to już wymysł FBI.

al. es.

Nie bacząc na coraz wyraźniej występujące oznaki kryzysu w gospodarce USA, wielu amerykańskich ekonomistów prorokowało w końcu ubiegłego roku, że rok 1954 będzie „drugim w historii rokiem największego rozkwitu". Proroków tych wykpiła jednak w jednym ze swych rysunków nawet taka amerykańska gazeta burżuazyjna jak „New York Herald Tribune".

Karykatura: „New York Herald Tribune"

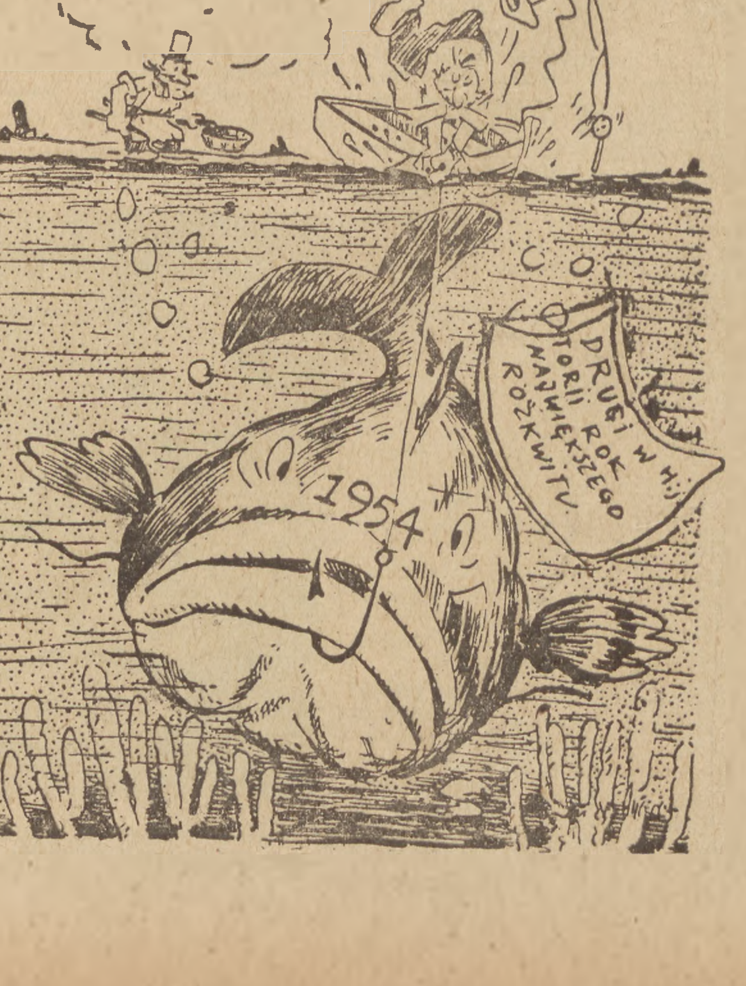

tów AGH budujących linię oraz przepracować pewną ilość godzin przy montażu" — głosiło ostatnie zdanie protokołu. Podpisali go świeżo wybrani członkowie komitetu elektryfikacji — Kaczmarczyk, Pałka i Starzycki.

Gdy wychodzili w wilgotny mrok, błyszczały tylko z lewa okna plebanii. — Już niedługo i u nas — uśmiechnął się ktoś, potykając się o próg chałupy.

*

KARTKA Z PAMIĘTNIKA

Czwartek, 22. kwietnia.

No, nareszcie w pociągu. Strasznie dłużyły się dziś zajęcia na uczelni. Trochę ogarnia trema. Jak też wypadniemy? — Elektryfikacja wsi — hm — niby w teorii, to nie takie trudne, ale jak będzie w praktyce? — Pierwszy raz.

W dodatku to dzisiejsze krakanie Ryśka Jakubowskiego — przewodniczącego koła naukowego. Zaczął opowiadać na przerwie o wszystkich wypadkach, jakie miały miejsce podczas kariery jego ojca, który nieraz prowadził elektryfikację.

Brr — jednak to średnia przyjemność zostać przygniecionym przez słup, ewentualnie skręcić kark lecąc z góry na ziemię. Zawsze to jednak 10 metrów wysokości.

Gdy dotarliśmy do Poręby-Żegoty było już zupełnie ciemno. Okropne błoto. Na miejscu „rozebrano nas", tzn. każdy gospodarz zabrał po jednym, czy po dwóch i zaprowadził do swego domu. O nasze trzy dziewczęta — Halinkę, Miłę i Czesię to nawet była kłótnia, bo każda gospodyni chciała, żeby przyszły do niej. Potem — prawdziwa wiejska kolacja i wreszcie spać.

*

Wczesnym rankiem, gdy trawa pokryta była jeszcze siwym szronem, wyszli do pracy. Wzdłuż drogi leżały świeże, pachnące żywicą i lepkie od smaru słupy.

Z przywiezieniem tych słupów była cała „Odyseja". Kowal - Gaładyn, Adamski, Janik i Cielaś jechali po nie aż do Czechowic ponad 60 km. drogi. Stracili na tę eskapadę 2 dni. Wypożyczony ze spółdzielni produkcyjnej traktor zepsuł się w powrotnej drodze. Zacinał przykry, zimny deszcz. Chłopi klęli.

Ale oto słupy już leżą przy porębskiej drodze. Grabarz Pierzchała czerpie szuflą z dołu gliniastą, rzadką maź. Grunt tu w kotlinie grząski i bagnisty — buty i kombinezony przybierają brązowo-żółtą barwę błota — ciężko.

Nie przypuszczał grabarz Pierzchała kopiąc cmentarne doły na mieszkanie sąsiadom z Poręby, gdy za ciężkie życie rozpoczynali światłość wiekuistą, że będzie również kopał doły pod słupy, przez które popłynie doczesne elektryczne światło dla żywych porębian — by jaśniej im się żyło.

(Dokończenie ze str. 1)

Pracują wszyscy — i Leszek Marszałek, który tak gustuje w intelektualnych dyskusjach i Marian Feil w kolorowej apaszce na szyi i nawet to drobniutkie chucherko Czesia Buska, która w kombinezonie i w pantofelkach na wysokich obcasach wygląda jak parodia robotnicy.

Inni wkręcają izolatory. To wcale nielekka praca borować dziury w twardym drzewie słupów o średnicy około 30 cm.

Potem ustawianie ciężkich, wysokich słupów. Bolą ramiona, a wargi, dotknięte przez nieuwagę zamazaną ostrym smarem dłonią, pękają aż do krwi.

Zabłysły już lampy naftowe w izbach, gdy ustawiono ostatni słup. Ktoś wdrapał się na szczyt i przymocował drutem zieloną wiechę. W kościach tak cholernie łamie, ale przecież nie chce się odejść na kolację, bez końca patrzyłoby się na zawieszony pęczek zieleni.

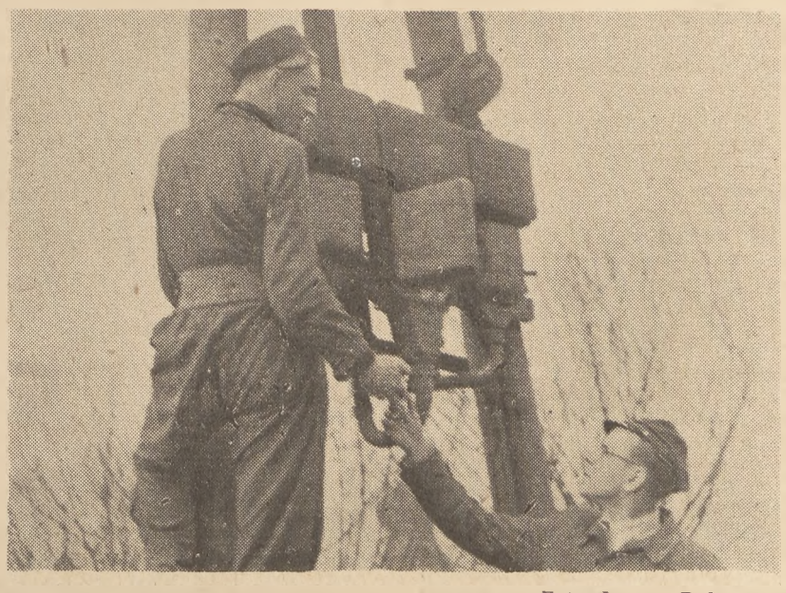

Foto Janusz Dylewski

I znów słoneczny ranek. Pogoda rzeczywiście jak na zamówienie. Jakaś staruszka dziwiła się wczoraj — musieliście panowie chyba bardzo się modlić przed wyjazdem, że Pan Bóg tak pamięta o was i taką śliczną pogodę zesłał.

Adam Glazur rozdziela studentów do poszczególnych prac. Część będzie przeciągać przewody nowej linii, a część, na czele z Januszem Dylewskim pójdzie do spółdzielni produkcyjnej naprawić starą instalację.

W szopie obok kuźni leżą szpule z aluminiową linką. Ładują to na wóz Starzyckiego — tego, który jest członkiem komitetu elektryfikacji i wiozą na szosę do głównej linii.

Tymczasem Dylewski z Mikusem i Marszałkiem już pieklą się w spółdzielni. — Przecież każdego szanującego się elektryka zgroza ogarnie, gdy zobaczy taką kompromitację instalacji. Spółdzielcy skarżą się na ciągłe zwarcia linii a przecież to cud, że dotychczas nie spłonęły zabudowania gospodarcze, pod których przeciekającymi dachami przeciągnięto kabel w bawełnianej izolacji.

Tymczasem przy zakładaniu przewodów pracuje reszta studentów.

Po południu pomagają w pracy przybyli z fabryki mężczyźni. Dziś sobota, więc wcześniej fajerant.

Na drogę przy mostku zjeżdżają się na rowerach jacyś młodzi w cyklistówkach. Dowcipkują sobie na temat pracujących studentów i rozpraszają się wreszcie po chałupach, mrugając znacząco na kobiety. — Gospodyni, przecież oni wam tego nie zrobią. Ja bym to wam w trymiga podłączył do mieszkania. A kosztuje — drobnostka — pięćset złociszów... Jak sępy zleciały się na żerowisko chłopskiej naiwności różne niebieskie ptaki — „monterzy" z Alwernii i Chrzanowa.

Studentów aż żenuje gorliwość gospodyń, które pakują w nich takie porcje, że wprost połowy zjeść nie można, tak tego dużo. — Czyżby gardzili panowie naszym wiejskim jedzeniem? Jakże trudno wytłumaczyć tym szczerym kobietom, że naprawdę nie możemy więcej zjeść.

KOWAL KUJE W NIEDZIELĘ

Gdy ponad doliną płynęło echo dzwonów wzywających na poranną mszę, na słupach siedzieli już chłopcy. W niedzielę, gdy konieczność użycia prądu jest o wiele mniejsza niż w dzień powszedni — trzeba wyłączyć starą linię przy szosie i zmienić żelazne, poniemieckie przewody na lepsze, łatwiej przewodzące prąd — aluminiowe.

W kościele dziś ponuro — nie płonie złocisty pająk, tylko świece migocą na ołtarzu. Proboszcz przed kazaniem przypomina wiernym, że dzień siódmy należy święcić, chyba, żeby ktoś pracował wbrew własnej woli...

Dewotki przybrane w czarne, zeszłowieczne suknie wygrażają pięściami studentom — żeby mnie żywym ogniem przypiekali — nie poszłabym w niedzielę do pracy!

Romek Włodek ociera furażerką opaloną, spotniałą twarz — już szóstą godzinę siedzi na szczycie słupa, mocując się z upartym drutem. Dziewczęta w kombinezonach udają, że nie słyszą wulgarnych docinków padających od strony kościoła, gdzie zgromadzili się „pobożni" młodzieńcy wiejscy.

Od kuźni rozlega się dzwonienie młotów. — Zabrakło haków do zamocowania wzmocnień dla stojących w grząskim błocie słupów.

Jan Chrząszcz — komendant posterunku milicji z Alwernii napiera na ciężki słup aż na ręce wypływają błękitne żyły. Pracują także: Adamski, Seremak, Starzycki i grabarz Pierzchała. Pracują chyba nie wbrew własnej woli...

Nie płonie jeszcze żarówkami posąg Matki Boskiej, w oknach plebanii migocą wąskie płomyki świec. W ciemności uwijają się sylwetki w kombinezonach. Fober — ten uparty Ślązak nie może rozprostować zdrętwiałych od słupołazów nóg. Kobiety ze wsi przygotowujące poczęstunek w izbie szkolnej niecierpliwią się — wszystko już dawno rozłożone na stołach.

Wreszcie mały „Pawełek" — Jurek Pawłowski zsuwa się na ziemię i prosi o papierosa. Linia zmieniona!

Adam Glazur, Zygmunt Grobla i ob. Szach — kierownik placówki Zakładu Sieci z Alwernii — idą do transformatora włączyć napięcie.

Adam wyjmuje z kieszeni bezpieczniki i z trudem usiłuje opanować drżenie ręki. A nuż zrobili coś niedokładnie, może któryś z monterów zostawił gdzieś na przewodach kawałek drutu i nastąpi zwarcie, przepali całą linię. A ciemno choć oko wykol — nie dostrzeżesz nic na przewodach.

Sposobem doświadczonego montera podnosząc dłoń do góry, by nie spaliło w razie zwarcia, wkręca powoli bezpiecznik. Wreszcie naciska dźwignię włącznika i... w domu zakonnic, na plebanii i w szkole rozpala się łuna elektrycznej jasności.

Idą do szkoły trzymając się za ręce i śpiewają z całych sił, na całe gardło zwycięską pieśń radziecką o sztandarze, który popłynął w górę.

*

W poniedziałek montowali podłącza do chałup. Mieli odjechać najpierw o czternastej, potem o siedemnastej — chłopi nie chcieli wypuścić — pojechali o dziewiętnastej odprowadzeni serdecznymi uściskami i może nawet łzą w oku niejednej z porębskich piękności.

Wieczorem, gdy po zabawie będą odprowadzać swe dziewczęta przez krakowskie planty — matka Franka Ziarkowskiego w Porębie-Żegoty zasiądzie nad Szołochowem.

TADEUSZ JASZCZYK

Śladem listu z „URSUSA"

List i sesja

Wpierw przysłanął jeden, potem drugi i trzeci. Wokół gazetki gromadziło się coraz to więcej studentów. Ktoś powoli czytał: „List otwarty zetempowców „Ursusa" ...do studentów Politechniki Warszawskiej..."

Gazetka ścienna wydziału budowy samochodów i ciągników zawierała dzisiaj tylko dwa artykuły: jednym był list otwarty wycięty z POPROSTU, drugim — wypowiedź na temat listu studenta kursu magisterskiego Staszka Małachowskiego: „Cieszy mnie bardzo — pisał Staszek — inicjatywa zetempowców „Ursusa" — pomożenia nam w koleżeński, przyjacielski sposób. Lepiej uświadomimy sobie trudności i pewne zadania, jakie stoją przed absolwentami Politechniki, zatrudnionymi w produkcji. List przedstawia fakty niewątpliwie prawdziwe".

Czytających przybywało. Wymieniali uwagi. Wszyscy zgadzali się ze Staszkiem. Nic dziwnego, chyba po raz pierwszy młodzi robotnicy zwrócili się do swych kolegów — studentów z uwagami o słabym przygotowaniu fachowym i politycznym absolwentów ich wydziału.

LIST JEST SŁUSZNY I POTRZEBNY UCZELNI

List przyszedł w porę. Kwalifikacje zawodowe i polityczne większości absolwentów nie były najlepsze. Przyczyny tkwiły w całokształcie pracy wydziału. I to zarówno w programie nauczania, słabej pracy organizacji zetempowskiej, jak i w pracy samych studentów.

Studenci uczą się słabo. Np. w ostatniej sesji na 82 absolwentów zdających egzaminy dyplomowe, 19 nie ukończyło studiów, a w tym 13 nie zdało egzaminów z powodu braku podstawowych wiadomości ze swego kierunku studiów. Nielepiej przedstawia się sytuacja i na innych latach. Oceny dostateczne przeważają nad dobrymi i bardzo dobrymi. Najwięcej słabych ocen jest z podstaw marksizmu - leninizmu. Również niezbyt dobrze uczy się aktyw. Na I roku na około 25 aktywistów tylko dwóch zdało egzaminy bez poprawek — reszta miała po dwie a nawet po trzy poprawki.

Studenci w bardzo małym stopniu podnoszą swój poziom polityczny i ideologiczny. Dlatego też osiągają niskie wyniki z podstaw marksizmu - leninizmu. W czasie rozmowy ze studentami III grupy II roku okazało się, że ich przygotowanie do zajęć z podstaw marksizmu-leninizmu nie wybiega poza czytanie Krótkiego Kursu Historii WKP(b). Również innych prac marksistowskich jak i beletrystyki nie czytają prawie wcale.

W tej konkretnej sytuacji potrzebna jest przede wszystkim lepsza organizacja nauczania oraz głęboka praca ideologiczna organizacji zetempowskiej. A na wydziale jest jeszcze za mała więź teorii z praktyką w czasie studiów oraz brak pracy ideologicznej organizacji zetempowskiej.

*

Jedną z podstawowych przyczyn niedostatecznych kwalifikacji zawodowych absolwentów był trzyletni system studiów. Obecnie, kiedy uczelnie przeszły na system czteroletni, sprawa ta uległa znacznej poprawie.

Niemniej jednak w ciągu czterech lat studiów można o wiele lepiej przygotować kadry fachowców, poprzez ściślejszą więź teoretycznych wykładów z praktyką. Za mało jest wykładów z technologii, za mało jest zajęć warsztatowych. Warsztatom brakuje odpowiedniego wyposażenia technicznego.

Sprawa praktyk również nie wygląda dobrze. Zdarzają się wypadki, że zakłady pracy lekceważą tę sprawę. np. „Ursus" w ubiegłym roku zamiast zatrudnić praktykantów w produkcji powierzył im czynności administracyjne. Inne zakłady nie przestrzegają zasady, że student powinien w okresie praktyki przechodzić z działu do działu, by zapoznać się z całokształtem pracy w zakładzie.

Największą jednak winę ponoszą sami studenci. Nie wykorzystują oni należycie praktyk, bumelują. Tak było np. w ubiegłym roku na praktyce w Starachowicach, gdzie grupa studentów pod przewodnictwem studenta Oborskiego zamiast pracować — plażowała i urządzała pijatyki.

Słaba jest praca zetempowska. W ciągu prawie całego roku akademickiego III grupa II roku miała 5 zebrań. Tematem ich były wybory organizatorów grupy, przeprowadzane zresztą formalnie, podsumowanie sesji egzaminacyjnej i jedno nieudane szkolenie na temat IX Plenum. A grupa III należy do przodujących grup na II roku. Koło ZMP-owskie II roku miało tylko jedno zebranie, na którym wybrano nowy zarząd.

Nie było ani w grupie, ani w kole dyskusji światopoglądowych, dyskusji nad filmem, sztuką czy książką, dyskusji, które rozbudzałyby zamiłowanie do zawodu. A zagadnienia te warto byłoby omówić, gdyż są one przedmiotem wielu wątpliwości i na ich temat studenci dyskutują tylko po cichu, bez udziału aktywu, który tymi dyskusjami nie kieruje, nie wie jakie ostatecznie wyciągnięto z nich wnioski. Bilans więc prawie rocznej pracy organizacji jest ubogi. Co prawda istnieje na wydziale dobrze zapowiadający się ruch łączności miasta ze wsią, ale to jest jedyne osiągnięcie organizacji.

Nie widać wcale pracy opiekunów grup studenckich, którzy przecież mogą bardzo dużo pomóc organizacji w wychowaniu studentów. Studenci III grupy nie tylko nie widzieli na żadnym swoim zebraniu opiekuna grupy, ale nawet go nie znają, nie wiedzą kto nim jest.

W ubiegłym roku nie było na wydziale ani jednego koła naukowego. Obecnie zorganizowano jedno koło samochodów. Ale w kole pracuje tylko kilkunastu studentów, dlatego nie może ono spełniać większej roli.

W tej konkretnej sytuacji trudności programowych, słabego poziomu naukowego studentów i braku pracy ideologicznej dotarł do studentów list z „Ursusa", list, który może bardzo dużo pomóc kadrze profesorskiej, organizacji partyjnej i zetempowskiej oraz samym studentom w przygotowaniu wysoko kwalifikowanych kadr dla przemysłu. List, który jest mocnym orężem w walce o wyniki letniej sesji egzaminacyjnej.

Przez pierwsze dni po ukazaniu się listu wydział żył tą jedną sprawą. Dyskutowano w czasie przerw i w domach studenckich. Odbywały się zebrania grup i prasówki, na których omawiano apel młodych zetempowców „Ursusa". Studenci chodzili po mieście i wykupywali numery POPROSTU zawierające list.

Już na drugi dzień po ukazaniu się numeru POPROSTU z listem z „Ursusa" odbyło się nadzwyczajne zebranie aktywu wydziałowego. Tematem był list otwarty. Protokół z zebrania zawiera około 40 punktów, na które składają się wypowiedzi aktywistów, wnioski usprawniające program i system nauczania. Narada postanowiła: „List jest słuszny i potrzebny. Wokół niego skoncentrujemy całą pracę przedsesyjną, aby lepszymi wynikami w nauce dać odpowiedź „Ursusowi". 16 maja zorganizujemy konferencję z udziałem aktywu zetempowskiego i partyjnego, przedstawicieli „Ursusa" oraz absolwentów wydziału pracujących w „Ursusie".

LIST TO NIE NOWA „AKCJA"

Tyle narada. A poza tym? Poza tym nic się nie robi. Przysłowiowy „słomiany ogień" znalazł swe potwierdzenie w pracy aktywu wydziałowego.

Aktyw wydziałowy początkowo niewątpliwie właściwie ocenił znaczenie listu. Niestety, wkrótce „inne sprawy" przesłoniły mu właściwe spojrzenie na polityczną treść listu.

Obecnie studenci zapominają o liście. Pamiętają tylko niektórzy aktywiści, odpowiedzialni bezpośrednio za zorganizowanie narady z przedstawicielami „Ursusa".

A list przecież dotyczy całokształtu pracy wydziału. Zarząd Wydziałowy i aktyw wydziałowy winny konsekwentnie doprowadzić do końca dobrze zapoczątkowaną pracę. W oparciu o list winny kontynuować polityczne przygotowanie do sesji, poprzez głębokie i rzeczowe dyskusje, poprzez pracę propagandową itp.

Do sesji zostało niewiele czasu. Ale można go właściwie wykorzystać i dobrze przygotować sesję — dać konkretną odpowiedź zetempowcom „Ursusa".

W. GODEK

Ta odpowiedź nie wystarczy

W „Expressie Łódzkim" ukazał się artykuł pod wymownym tytułem „Za awantury, za pijatykę..." Wśród opisu galerii chuliganów zatrzymanych przez milicję mała notatka... „Student IV roku Łódzkiej Akademii Medycznej w stanie nietrzeźwym zaczepiał na ulicy kobiety. Ma 24 lata, zetempowiec, od początku nauki pobierał stypendium". I na końcu notatki dwa pytania pod adresem studentów Akademii Medycznej: „Czy można takiemu człowiekowi — za rok lekarzowi — zaufać? Jak organizacja zetempowska załatwi tę sprawę?"

Na Akademii zawrzało. Kto to? Jak mógł wyrobić taką opinię naszej uczelni? Wstyd teraz w czapce studenckiej pokazać się na ulicy! Kiedy zaś do wiadomości wszystkich dotarło nazwisko — Jurek Klejny — nie chciano wierzyć. Niezły student, popiwny — jeśli można się tak wyrazić — zetempowiec. Postępek Klejnego oceniano różnie — zgadzano się jednak z jednym — trzeba postąpić tak, aby ratować honor Akademii Medycznej.

DZIESIĄTA GRUPA

Jurek jest członkiem dziesiątej grupy czwartego roku wydziału lekarskiego. Grupa ta ma opinię „silnej w nauce — trochę słabszej jeśli chodzi o pracę społeczną". Wśród jej członków jest 3 asystentów, kilku dobrych aktywistów. Z egzaminami na ogół nie ma kłopotów — większość grupy przystępuje zawsze w terminach lub nawet przed terminami, uzyskując dobre oceny. Członkowie grupy chętnie wyjeżdżają na wieś z czołówkami lekarskimi Akademii. Zebrania odbywają się regularnie, mimo dużej ilości zajęć i trudności lokalowych. Formalnie więc do grupy nie można mieć pretensji.

Wydawało się, że dwudziestu kilku kolegów, z którymi Jurek od czterech lat razem uczy się, odbywa ćwiczenia i kliniki, zdaje egzaminy, chodzi na zebrania i wspólne imprezy, będzie potrafiło odpowiedzieć w przekonywający sposób na pytanie, czy Jurek to pijak i chuligan, czy też wypadek opisany przez łódzką prasę to tylko przypadkowy, przykry wyskok. Przecież grupa zna go najlepiej. Jednak okazało się, że...

NAJLEPIEJ NIE ZNACZY WCALE DOBRZE

Dwa kolejne zebrania grupy, na których omawiano sprawę Jurka, niewiele wniosły nowego, choć aktyw grupy z organizatorem na czele, nie szczędził wysiłków, aby wyjaśnić wszystkie szczegóły. Wyciągnięto protokół milicyjny, starano się dotrzeć do zaczepionej kobiety, proszono o dodatkowe szczegóły dziennikarzy z prasy łódzkiej. W dyskusji zastanawiano się, czy wypadek miał miejsce na ul. Gdańskiej, czy na Piotrkowskiej, czy Kleiny pije stale, czy rzadko, czy pił z siedmioma kolegami, czy z jednym.

Nie zastanawiano się jednak nad takimi sprawami, jak to, co Jurek robi poza uczelnią, czy jest on człowiekiem koleżeńskim, jakie są właściwie jego szersze zainteresowania. Okazało się, że większość kolegów nie potrafi nic powiedzieć o jego obliczu moralnym, nie zna jego środowiska domowego, nie wie jaki on ma właściwie światopogląd. Ci zaś nieliczni, którzy mogliby coś powiedzieć, prawdopodobnie nie chcieli. Grupa w końcu postanowiła postawić na zebraniu koła wniosek o usunięcie Klejnego z ZMP i pracować nad nim, aby podobne wypadki się nie powtarzały. Wniosek, szczególnie w drugiej części słuszny, ale jakie są gwarancje, że rzeczywiście podobne wypadki nie będą się powtarzały?

TRZECI Z RZĘDU

Grupa X nie pierwszy raz występuje z wnioskiem o usunięcie jednego ze swych członków z ZMP. Wyrzucono już z organizacji dwóch członków tej grupy: kol. Miszczaka i kol. Pałuszewskiego. Za każdym razem mówiono, że trzeba ludzi dobrze poznać i umieć ich wychowywać.

Kol. Pałuszewski został 3 lata temu usunięty z ZMP. W tej chwili nadal nie ma dobrej opinii. Jest to jednak jedyny członek grupy, który znał Klejnego bliżej, który mógłby o nim coś więcej powiedzieć. Jednak, choć wiadomo było, że Klejny właśnie z nim się przyjaźni, nikt nie interesował się, kto na kogo w tej dwójce ma decydujący wpływ, czy przypadkiem oddziaływanie Pałuszewskiego nie powoduje, że Jurek staje się coraz bardziej bierny, coraz mniej żyje życiem i sprawami grupy.

Kolektyw grupy X rozbity jest na małe grupki. Również osobną tzw. asystencką grupkę tworzy aktyw. Co robią inni poza uczelnią — tego aktyw nie wie, nie stara się zresztą specjalnie oddziaływać czy kierować życiem innych grupek.

PORZĄDEK DZIENNY

Poza wykładami i ćwiczeniami spotykają się wszyscy na zebraniach. Jednak wiadomo, że nawet dobre zebrania nie wystarczą, aby wychować człowieka. Nie można zaś nazwać dobrym zebrania grupy, na którym omawiano sprawę Klejnego. Nie powiedziano bowiem na nim prawie nic o tym, jak należy pracować, co zrobić, aby Klejnego rzeczywiście wychować, lub aby za rok znów nie trzeba było robić zebrania dyscyplinarnego w czyjejś innej sprawie. Trudno zresztą było się tego spodziewać z uwagi choćby na porządek dzienny, który oprócz sprawy Klejnego zawierał: prasówkę, omówienie zadań gospodarczych postawionych na II Zjeździe przez tow. Minca, omówienie referatu tow. Piechuckiego na XIV Plenum ZG ZMP, omówienie zadań służby zdrowia w świetle uchwał II Zjazdu PZPR, omówienie wykonania planu pracy grupy za kwiecień, ułożenie planu na maj, sprawę akcji żniwnej (to na zebraniu opuszczono, bo było już za mało czasu) i ustalenie terminów egzaminów i repetytoriów w sesji letniej. I to wszystko w niecałe 3 godziny! Nic więc dziwnego, że żywsza dyskusja oraz dużo wniosków było tylko przy ostatnim punkcie porządku dziennego.

*

Zebranie koła usunęło Jurka Klejnego z organizacji. Jednak to nie jest wystarczająca odpowiedź na pytania, zadane przez „Express Łódzki". Chodzi bowiem o to, by jego i innych studentów Akademii wychować na lekarzy przygotowanych zawodowo i politycznie do wykonywania swego trudnego i zaszczytnego zawodu. Do tego zaś nie wystarczą zebrania, lecz konieczna jest codzienna, żmudna praca. Praca taka bez wątpienia na Akademii Medycznej w Łodzi istnieje, lecz nie obejmuje ona wszystkich, nie dociera do każdego studenta. Za mało i za słabe są — jak widać na przykładzie grupy X — próby poznania zainteresowań poszczególnych ludzi, wykorzystania ich, właściwego pokierowania. Np. wiele kół naukowych pracuje słabo, studenci zapisują się do nich i wypisują w zależności od tego, jaki trudniejszy egzamin czeka ich w najbliższej przyszłości (np. koło chirurgii na III roku). Zrywami prowadzona jest praca kulturalno-masowa.

Aktyw nie może separować się w swoich kółkach—musi, mówiąc słowami tow. Rapackiego, być „bliżej człowieka, pracować dla człowieka". Inaczej na pytanie „Expressu" — „Jak organizacja ZMP w Akademii Medycznej załatwi tę sprawę?" trzeba będzie odpowiedzieć, że załatwiła ją źle.

S. Ch.

CELULOZA

Teresa Szmigielówna w roli Zochy Czerwiaczkowej

Film zrealizowany według powieści Igora Newerly „Pamiątka z Celulozy". Scenariusz: Igor Newerly i Jerzy Kawalerowicz. Reżyseria: Jerzy Kawalerowicz. Zdjęcia: Seweryn Kruszyński. Wykonawcy: Józef Nowak, Stanisław Milski, Teresa Szmigielówna, Janina Szydłowska, Zbigniew Skowroński i inni.

Produkcja WFF — Łódź 1953 r.

Utarł się zwyczaj, że przy omawianiu filmu, zrealizowanego na podstawie powieści — obojętne, czy jest to adaptacja filmowa, wiernie odpowiadająca materiałowi powieściowemu, czy też czerpie z niego jedynie pomysł lub tzw. wątek fabularny — krytyka nasza stara się zawsze konfrontować film z danym utworem literackim. Jest to tym zrozumialsze, gdy mamy do czynienia z filmem opartym na wybitnym, lubianym i znanym przez ogół dziele literackim. Czytając powieść, przeżywając ją wyobrażamy sobie tę czy inną sytuację, bohaterów. Kiedy później oglądamy ich na ekranie, albo rozczarowujemy się (a dzieje się to wówczas, gdy nasze wyobrażenia urobione w czasie lektury nie znajdują potwierdzenia w filmowej realizacji), albo wychodzimy z kina zadowoleni, z satysfakcją stwierdzając: „Bohater jest taki właśnie, jakim go sobie wyobrażałem".

Jasne jest, że taki sposób patrzenia na film adaptowany jest zupełnie nieprzydatny, niewystarczający do jego pełnej i wnikliwej oceny. Scenariusz opracowany na podstawie powieści przez samego nawet autora, albo przy jego udziale jest już przecież zupełnie innym rodzajem literackim, który przeniesiony do realizacji filmowej daje w efekcie zupełnie autonomiczne, odrębne dzieło sztuki.

Mierzyć i oceniać można je tylko według kryteriów „języka filmowego" i kanonów estetycznych filmu. Zapomnijmy więc — oczywiście umownie, bo powieść jest zbyt dobrze znana i pamiętana — o „Pamiątce z Celulozy" Newerlego — a popatrzmy na „Celulozę" i oceniajmy ją jako samodzielne, zamknięte w sobie dzieło sztuki filmowej, którego twórcą jest i Newerly i Kawalerowicz i Kruszyński i aktorzy — cały ogromny kolektyw, dzięki któremu film powstaje i osiąga większą lub mniejszą rangę artystyczną, niepowodzenie lub sukces.

W wypadku „Celulozy" odnieśliśmy sukces, bo film jest naprawdę dziełem sztuki wysokiej rangi artystycznej, najlepszym chyba w ogóle filmem naszej kinematografii.

Użycie takich superlatywów zobowiązuje do argumentacji — zatem po kolei.

Bardzo rzadko przy oglądaniu filmów polskich zdarza nam się tak przeżyć losy bohatera, tak nimi wzruszyć i uwierzyć w nie, jak to ma miejsce, kiedy patrzymy na „Celulozę". I nie jest to wyłącznie zasługą dobrej gry aktorskiej, ale przede wszystkim rezultatem doskonałego scenariusza. Scenariusz „Celulozy" mając świetnie dramaturgicznie skonstruowaną fabułę, tak obrazuje kolejne etapy życia Szczęsnego, cały klimat i mechanizm kapitalistycznej przeszłości, tak wyraziście i pełnie rysuje wszystkie prawie postaci filmu, nawet te drugoplanowe, że pozwala i umożliwia wszystkim aktorom głębokie wczucie się w odtwarzaną na ekranie postać, daje każdemu z nich pole do własnej inicjatywy i do pełnego „wygrania się" (dialogi świetnie dobrane, żywe, literacko na dobrym poziomie i nareszcie wyjątkowo zmniejszone ilościowo na korzyść obrazu, sytuacji, akcji) a reżyserowi do epickiego niemal rozmachu.

„Celuloza" jest pierwszą częścią opowieści filmowej o drodze Szczęsnego do partii komunistycznej. Głębokie i prawdziwe, pozbawione uproszczeń, sztampy i łatwizny ukazanie w filmie poszczególnych etapów, które zbliżają Szczęsnego do celu, jest niewątpliwym i decydującym o wartości filmu — ideowym i artystycznym osiągnięciem. Po raz pierwszy w tak szeroko potraktowanym, epickim obrazie filmowym widzimy w sposób tak przekonywający przedstawiony cały proces rośnięcia bohatera, przemian dokonujących się w jego świadomości i psychice. Przemiany te — to nie tylko wynik doświadczeń jakich doznał Szczęsny w „eldorado", w tej „Ameryce" rozpościerającej się na terenie fabryki „Steinhagena i Saengera" we Włocławku. W osobistym zetknięciu się z całym skomplikowanym mechanizmem ustroju kapitalistycznej Polski, z owocami tego ustroju w każdej dziedzinie życia, nie tylko na wsi, nie tylko we Włocławku i w Warszawie, ale w całym kraju ilustrowane są — nie jakimiś ogólnymi sformułowaniami, patetycznymi scenami masowych strajków obrazującymi nędzę proletariatu, czy też polityczne manifestacje robotników — ale poprzez zwykłe, codzienne sprawy i sytuacje, drobne wypadki, w których najlepiej odbijają się wszystkie zagadnienia — ekonomiczne, społeczne i polityczne, wobec których staje Szczęsny wraz z innymi bohaterami filmu. To, co się dzieje w filmie wokół Szczęsnego, zmusza go do zajęcia takiej, a nie innej postawy, do myślenia i zastanawiania się nad szeregiem problemów, do wyboru. Cała ta tkanka fabularna filmu kształtuje, zbliża i wypełnia prawdziwym życiem postać Szczęsnego. Szczęsny jest i przez to m. in. tak bardzo ludzki, bliski jak dobrze znany i lubiany człowiek.

Prawda życia i autentyzm przedstawionej w filmie drogi Szczęsnego do przemiany ideowej, wzruszają nas i porywają. Po raz pierwszy w sposób wręcz pasjonujący przedstawiają nam w filmie bohatera pozytywnego, nie stojącego na koturnach czy niedostępnym piedestale, który nie straszy chłodem, pustką i frazesem, nie potrzebuje koturnów, ale wzrusza. Żywego i pięknego człowieka, który chce przeżyć życie jak c z ł o w i e k. Fakt, że Szczęsny w „Celulozie" tak głęboko zapada w pamięć widza, wzrusza i porywa jest zasługą, którą dzielą autorzy scenariusza z odtwórcą tej bardzo trudnej roli — Józefem Nowakiem.

Nowak bardzo wzruszająco ukazuje kolejne przemiany jakie pod wpływem nowych okoliczności i wypadków zachodzą w świadomości i charakterze Szczęsnego. Potrafił tak zżyć się z losami Szczęsnego, że patrząc na film zapominamy o kreacji aktorskiej; jesteśmy świadkami autentycznych, bardzo szczerych przeżyć bohatera. Takie odczucie postaci Szczęsnego zawdzięcza widz przede wszystkim Nowakowi i za to temu aktorowi należą się słowa uznania.

W ogóle aktorska strona filmu stoi na bardzo wysokim poziomie. Doskonała jest kreacja Milskiego w roli ojca. Przez cały czas filmu odnosi się nieodparte wrażenie, że mamy do czynienia z autentycznym chłopem. Milski w każdym geście, słowie, spojrzeniu i ruchach jest tak prawdziwy, tak zżyty z tą postacią, że nie widzi się zupełnie aktora. Dlaczego o tym piszę? Powie ktoś, że przecież tak zawsze być powinno. Zgoda, ale niestety zbyt rzadko mamy możność oglądać w naszych powojennych filmach tego rodzaju kreacje, żeby można było obok tego przejść obojętnie i nie podkreślić takiego osiągnięcia. Nie zapominajmy, że ten sam aktor w „Celulozie" odtwarza postać Czerwiaczka — budując ją zupełnie odmiennymi środkami, równie trafnymi i celowo wydobywającymi całą pozorną śmieszność małego człowieka i drobnego kapitalistycznego przedsiębiorcy.

Świetna jest również Teresa Szmigielówna jako Zocha Czerwiaczkowa. Niewątpliwym sukcesem tej młodej aktorki jest umiejętne i inteligentne zagranie tej roli.

Mówiąc o aktorskiej stronie filmu z uznaniem należy podkreślić, że nareszcie w „Celulozie" mamy dobry t.zw. „drugi" plan. Sceny na wsi, na placu fabrycznym, na zebraniu, na piaskach — gdzie biedacy budują mieszkania, w warsztacie Czerwiaczka, sanacyjnym wojsku, które ukazują w pełni ówczesną rzeczywistość i rozwój Szczęsnego, wyróżniają się obok doskonałej reżyserii właśnie świetnie zarysowanym aktorsko drugim planem.

Kawalerowicz — po nieudanej „Gromadzie" — ukazał się nam w „Celulozie" jako reżyser dużej klasy. Sceny takie jak na terenie fabryki, albo niezapomniana, wzbudzająca napięcie i bardzo silne wrażenie cześć filmu przedstawiająca nam Szczęsnego w wojsku są dowodem bardzo dużych możliwości i zdolności reżysera, a cały film jest jego niewątpliwym sukcesem.

„Celuloza" nie jest filmem bez wad. Są one jednak według mnie znikome w stosunku do oczywistych zalet filmu jako całości. Niemniej jest wśród nich kilka irytujących bo natury czysto technicznej. A więc takich, które obecnie nie powinny już mieć miejsca. Mam na myśli przede wszystkim fatalny dźwięk szczególnie w momentach dialogów, z których połowa zupełnie nie dociera do uszu widza. Druga sprawa — to zdjęcia. O ile można chwalić Kruszyńskiego za poszczególne ujęcia i ruchliwość kamery (oczywiście ruchliwość ta podporządkowana jest sytuacjom jakie wynikają z treści filmu) o tyle należy mieć pretensje, iż tak ciekawie pomyślane zdjęcia są ciemne, niedoświetlone, szare.

Jeszcze należałoby się chyba zastanowić nad celowością użycia retrospekcji w filmie. Pomijając już fakt, że jest to zabieg dość ograny, w „Celulozie" razi swoim formalnym i bardzo widocznym szwem. Niemożliwe jest bowiem (przyjmując pewne kryteria prawdopodobieństwa) aby spotkanej przypadkowo w parku, nieznanej dziewczynie, ktoś tak jak Szczęsny mógł opowiedzieć w ciągu nocy najintymniejsze zdarzenia ze swojego życia, przedstawić swój sąd o najróżnorodniejszych sprawach, osobach wypadkach i odsłonić się tak bez reszty. A tak pokazano w filmie, choć to jest sztuczne i nieprawdziwe.

Te krytyczne uwagi o filmie nie płyną z chęci szukania t. zw. „dziury w całym". Podyktowane zostały troską o to, by ustrzec od podobnych braków drugą część tego doskonałego filmu.

JERZY SOKOŁOWSKI

Jezioro Łabędzie

(Balet w 4 aktach Piotra Czajkowskiego)

Państwowa Opera im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu

Kompozycja choreograficzna: Stanisław Miszczyk.
Kierownictwo muzyczne: Henryk Czyż.
Scenografia: Stanisław Jarocki.
Wykonawcy: B. Gadzińska, B. Gośliński, B. Karczmarewicz, T. Kujawa, H. Krzeszkowska, L. Łakomówna, J. Majewska, K. Drzewiecki, P. Dobiecki, W. Milon, R. Radek, B. Stancak oraz zespół baletowy.

Pisane w latach 1875—1876 „Jezioro Łabędzie" jest pierwszym baletem Piotra Czajkowskiego, a jednocześnie otwiera okres wielkiego rozwoju baletowej sztuki rosyjskiej.

Pisany do libretta W. Biegiczewa i W. Gelcera balet ten stał się jedną z najtrwalszych pozycji muzyki baletowej świata, będąc jednocześnie najlepszym baletem Piotra Czajkowskiego. Libretto oparte na ludowych podaniach i baśniach, proste i nieskomplikowane, jest głęboką humanistyczne i wzruszające. Muzyka nie tylko świetnie oddaje intencje libretta, ale jest samoistnym arcydziełem muzycznym. Piękne liryczne partie jak adagio Odetty i Zygfryda w II akcie, czy tragiczne do głębi wzruszające lamentoso z początku IV aktu, czy wreszcie piękne, pełne temperamentu i ognia tańce z aktu III (hiszpański, czardasz) — stanowią o nieprzemijających wartościach tego arcydzieła muzycznego. W muzyce Czajkowskiego słyszymy wyraźnie dwa style: suitowy — szereg tańców i symfoniczny — rozwijająca się w całym balecie charakterystyka postaci baletu, tak wyraźna już na wstępie: to w lirycznym, pięknym motywie dziewcząt - Łabędzi, to w złowrogim, groźnym motywie Rudowłosego, czy wreszcie w II akcie, gdzie tanecznemu duetowi Odetty i Zygfryda odpowiada muzyczny duet skrzypiec i wiolonczeli.

Obok muzyki trwałą wartością „Jeziora" jest jego treść: w walce dobrego ze złem zwycięża dobro — w imię szczęścia i wielkiej miłości.

Prapremiera odbyła się w Moskwie 20 lutego 1877 roku. Następne przedstawienie z roku 1895 odbyło się w Petersburgu i tam stworzona została nowa klasyczna inscenizacja baletu przez M. Petipa i L. Iwanowa.

Ostatnią inscenizacją w Związku Radzieckim było wystawienie „Jeziora Łabędziego" w Moskwie w Teatrze Muzycznym im. Stanisławskiego i Niemirowicza - Danczenki. Przedstawienie opracował W. Burmajster. W partii Odetty-Odylli wystąpiła V. Bowt, w partii Zygfryda — A. Czyczynadze.

W przedstawienie to po raz pierwszy zostały włączone nieznane dotąd fragmenty baletu: melodia charakteryzująca Księcia w I akcie, pas-de-deux (taniec dwóch osób) w akcie III oraz obraz symfoniczny rozpoczynający akt IV.

W Polsce po raz pierwszy „Jezioro Łabędzie" zostało wystawione w roku 1900 przez włoskiego baletmistrza Rafaela Grassi, partię Odetty-Odylli tańczyła włoska tancerka Cecylia Cerri.

Po raz drugi wystawiono „Jezioro Łabędzie" w formie skróconej po pierwszej wojnie światowej.

Poznańska realizacja jest pierwszym przedstawieniem całego baletu w opracowaniu polskiego choreografa, w wykonaniu polskich tancerzy.

Janów jest miasteczkiem położonym niedaleko Stalinogrodu. Uliczki są prawie puste, nad miasteczkiem zapadła cisza. Trzy razy dziennie syrena kopalni „Wieczorek" donośnie odmierza czas dla Janowa.

Tego dnia, kto tylko był w mieście otwierał oczy z podziwu i ciekawości. Niejeden zastanawiał się nad tym, co mają oznaczać roześmiane twarze rozśpiewanych dziewcząt i chłopców, wychylające się z brezentem pokrytych ciężarówek. Samochody długo manewrowały w krętych uliczkach. Potem wszystko ucichło i słychać było tylko gwizdek elektrycznej „ciuchci", ciągnącej za sobą kilka maleńkich wagonów osobowych. Na jednym z wagonów odręcznie pisany plakat. Sprawa wyjaśnia się... „Występ 250-osobowego Zespołu Pieśni i Tańca Politechniki

Jesteśmy w krainie baśni. W nieznanym nam bliżej księstwie odbywa się uroczystość — młody, bajkowy, pełen romantycznych uniesień Książę Zygfryd doszedł do pełnoletności. Zjawia się i on w pałacowym ogrodzie, aby zabawić się z dworakami W prezencie od Księżnej matki dostał Zygfryd — złotą kuszę. Jest szczęśliwy i radosny. Ale matka obwieszcza mu, że na jutrzejszym balu musi wybrać sobie żonę. A w młodym Księciu nie zabiło jeszcze serce. Zaczyna się zmierzchać, Nad pobliskim jeziorem przelatują stada białych łabędzi. W Księciu rodzi się myśl nowej zabawy — polowania.

(Na zdjęciu — scena z aktu I. Na pierwszym planie: Błazen — P. Dobiecki, Księżna — J. Dutkiewicz, Zygfryd — B. Stancak, Mistrz ceremonii — B. Mikołajczak).

Udajmy się za Księciem i jego towarzyszami. W dzikiej okolicy, nad brzegiem jeziora rozciąga się inne księstwo, którego panem jest dziki i okrutny czarnoksiężnik — Rudowłosy. Panuje on nie tylko nad jeziorem. Pod jego władzą są również młode, zaklęte w łabędzie dziewczyny, którym zgodnie z przepisami baśni wolno tylko na parę godzin przybierać swą właściwą postać. Właśnie teraz zjawiają się w księżycowej poświacie. Przewodniczką ich jest zaklęta księżniczka — Odetta Książę oczarowany nią, wyznaje jej swą miłość Odetta zdradzi mu tajemnicę — wyzwolić ją i jej towarzyszki może tylko wierna miłość. Książę zaprasza ją na jutrzejszy bal. Ale Odetta przybyć nie może. Książę przyrzeka jej wierność Ale okrutny Rudowłosy nie dopuści do tego, słyszał bowiem przyrzeczenie Księcia ukryty w ponurych ruinach zamczyska. Pokrzyżuje zamiary Księcia, aby nie stracić swej władzy.

(Na zdjęciu: scena z aktu II. — Książę — B. Stancak, Odetta — B. Karczmarewicz, Rudowłosy — R. Radek)

Osobiste refleksje

Od dłuższego czasu zbierałem odgłosy dobiegające ze studenckich scen i estrad. Głosy śpiewającego, lub recytującego zespołu, czy też hołubce roztańczonego baletu.

Przyznać jednak trzeba, że najbardziej interesujące były i najwięcej mówiły o zespołach inne odgłosy. O tyle różne od tamtych, że się je da porównać chyba tylko z dyskretnym strojeniem instrumentów przed występem i tradycyjnym, znanym ze wszystkich prób — „źle, jeszcze raz...".

Wydawałoby się, że nie może być w tym nic ciekawego. Pełno tu dysonansów, zgrzytów, a nawet nieporozumień. Jednak właśnie wśród takich okoliczności i w takich warunkach kształtowały się zespoły i dojrzewały kolektywy kulturalne.

Kwiecień przynosił coraz to większą ilość listów korespondentów, wycinków z prasy codziennej, no i zaproszeń na coraz to częstsze imprezy, wreszcie — eliminacje uczelniane i środowiskowe.

Wypada, jak zwykle przywykło się robić w takich wypadkach, wrócić do początku, potem kolejno zatrzymać się na poszczególnych etapach pracy kulturalnej w tym roku akademickim. Zerwijmy jednak z tą tradycją, stawiając sobie pytanie: Co potrafiliśmy zrobić, co w naszej tegorocznej pracy i repertuarze jest nowego? Właśnie — co nowego?

„TO IDZIE MŁODOŚĆ..."

Należy przyznać, że piosenka z filmu „Przygoda na Mariensztacie" bardzo się podobała. Najbardziej może dlatego, że jest buńczuczna, radosna i taka bardzo młoda. Nic więc dziwnego, że wiele zespołów swoim montażom nadawało właśnie tytuł tej piosenki. Po prostu czuje się, że zespoły studenckie powinny kształtować swój repertuar pod takim właśnie hasłem. Wydaje się, że w wielu wypadkach tak właśnie jest.

Zespoły wystąpiły z nowym, ciekawym repertuarem. Potrafiły iść przebojem przez wiele trudności w poszukiwaniu nowego. Trudno nie wspomnieć o zespole Politechniki Warszawskiej, który w roku ubiegłym oczarował widzów „Suitą kurpiowską", a który w tym roku znowu zwrócił na siebie uwagę starannie przygotowaną „Suitą tańców rzeszowskich", trudno nie wspomnieć o zespole AM w Rokitnicy, który nie zraził się zeszłoroczną porażką i obecnie wystąpił z repertuarem wysokiej klasy.

Udało się również w wielu wypadkach przełamać „tradycyjny" zwyczaj przygotowania zespołów na miesiąc przed eliminacjami, gdy w ostatniej chwili Komitety Uczelniane dochodziły do wniosku, że życia kulturalnego może nie być przez cały rok, ale na eliminacje musimy „coś" pokazać.

Daleki jestem wprawdzie od tego, aby uważać, że tradycja ta przestała być problemem w tym roku. Niestety, pokutuje jeszcze i tradycja i problem. Dobrze jednak, że w wypadkach, gdy inicjatywę brały w swe ręce zespoły, udało się w niej poczynić poważne wyłomy.

Jeżeli już mowa o wyłomach, to nie trudno zauważyć jeszcze kilka z nich, które pozwalają patrzeć bardzo optymistycznie w przyszły rok. Chociażby olbrzymi rozwój zespołów dramatycznych. Jest to jedna z najciekawszych i najtrudniejszych form pracy kulturalnej. W roku ubiegłym mieliśmy takich zespołów 16, a w bieżącym 46. Obok nich bardzo żywo zaczynają rozwijać się zespoły satyryczne, które ze względu na swój charakter mają olbrzymie pole do popisu, jeżeli potrafią swój repertuar przystosować do specyfiki uczelni i środowiska. Wiele z nich opiera się jeszcze na znanych tekstach pism satyrycznych, wiele jednak próbuje już własnych sił.

Zresztą, nie tylko satyrycy. Wymienić tu można chociażby tylko III rok wydz. architektury PK. Wystąpił on z oryginalnym montażem - dyskusją, której fragment warto przytoczyć:

„— Sławek — ... i będą nudy, nudy. Chcecie znów usłyszeć, jak zawsze nieśmiertelnego konferansjera, wygłaszającego wielką prawdę, np.: tematem dzisiejszego występu będzie wojna w Wietnamie, w związku z czym kol. Franek Trzebunia przez trzy kwadranse opowie nam coś w gwarze góralskiej (następuje wstawka — zjawia się kol. Franek w góralskim stroju i prawi: „kiese Stasek hipnął to haj"). Podolak usuwa go ze sceny gestem ręki a następnie trio nasze śpiewa prześliczną zresztą „Kukułeczkę" itd...

JUREK: To może coś o Warszawie?

EWA: Od trzech lat nasza grupa urządza eliminacje o Warszawie...

SŁAWEK: Tylko proszę cię, na temat Warszawy sobie nic nie pozwalaj...

JUREK: Teraz dopiero co minął Tydzień Młodzieży...

EWA: O widzisz, o studentach, — to znaczy o nas samych, ale — jakby to pokazać..

I może to co pokazali nie było na bardzo wysokim poziomie artystycznym, a jednak bardzo ciekawe. Pokazali życie studentów inscenizując fragmenty literatury dwudziestolecia i współczesnej.

Drugi przykład to repertuar grupy agit.-art. III roku bud. maszyn i włókienniczego SI w Częstochowie, na który złożyło się wiele utworów własnych. Nie udała się tylko konferansjerka, ale to zapewne nie zawróci ich z dobrej drogi.

Należałoby wspomnieć jeszcze o dużych zespołach, liczących często ponad 200 osób. Tym razem nie będą to tylko słowa zachwytu, chociaż trudno nie entuzjazmować się patrząc na ich produkcje. Sygnały z różnych środowisk donoszą o niepokojącym zjawisku, które daje się zaobserwować równolegle z ich rozwojem. Na Politechnice Śląskiej w Gliwicach zespół pieśni i tańca jest „oczkiem w głowie" KU ZSP. Dla tego zespołu wszyscy gotowi są do największych ofiar i wyrzeczeń... nawet w stosunku do szerszej pracy kulturalnej. Ta kilkutysięczna uczelnia nie urządziła nawet eliminacji uczelnianych, ponieważ poza tym zespołem trudno byłoby „coś" pokazać.

Taka sytuacja nie wymaga komentarza, a zaobserwować ją można nie tylko w Gliwicach, bo podobne paradoksy (na estradzie imponujący tłum, będący w stosunku do uczelni — grupką) powtarzają się niemalże w każdym środowisku o „wielkich" ambicjach.

A WIĘC NIE WSZYSTKO JEST DOBRZE

Właściwie uzbierało się dużo plusów i warto wskazać na nieprzełamane jeszcze opory „tradycyjnych" bolączek.

I tu należy wrócić znów do repertuaru, z którym w tym roku było najwięcej kłopotu. Najpierw wszyscy czekali na wytyczne. Zapowiadano, że repertuar musi być inny, związany z X-leciem Polski Ludowej. Potem mniej cierpliwi zaczęli poszukiwania na własną rękę. Gdy wreszcie przyszły upragnione wytyczne, okazało się, że nie jest to gotowy materiał, który należy tylko realizować, a na własne poszukiwania było już wtedy trochę późno.

W rezultacie zadowolono się położeniem większego nacisku na regionalizm i historię. Jeżeli trudno mieć pretensję o barwne regionalne tańce i pieśni (i tutaj nie trudzono się często o nowe układy i melodie), to historia poważnie zaciążyła na tegorocznych występach, szczególnie mniejszych zespołów.

W rezultacie można powiedzieć: dużo folkloru, dużo przeszłości — mało życia współczesnego. Zagranicą mówią o nas, że lubujemy się w swoich dramatach narodowych. Dużo w tym prawdy. Prawdą również jest jednak, że do radości podchodzimy trochę nieufnie i z rezerwą. A czy może być coś bardziej ciekawego i atrakcyjnego od życia, które sami tworzymy?

Jest jeszcze jedna sprawa powtarzana pó każdych eliminacjach, którą warto jednak przypomnieć. Ile szkody przynosi nam fałszywa ambicja i efekciarstwo — tego chyba nie trzeba pisać. Trzeba jednak o wypadkach w Stalinogrodzie.

Wiadomo, że nie wszystkie zespoły mają swoje stroje, wiadomo jednak, że zawsze można pożyczyć... o ile, naturalnie, partnerów w konkursie cechuje koleżeństwo i szlachetna rywalizacja. Tymczasem za kulisami sali teatralnej w Stalinogrodzie wybuchła awantura właśnie o stroje — ostatecznie balet WSP nie tańczył „po cywilnemu", był jednak bardzo zdenerwowany. Nie wiem, ile satysfakcji ta awantura sprawiła zespołom z... przypuszczam jednak, że już zrozumieli, jak daleko zaprowadziła fałszywa ambicja.

* * *

Po pracowitym dniu eliminacji zespoły wróciły do domów, a pracę rozpoczęło jury konkursu, w którym obok fachowców zasiadali przedstawiciele ZMP i ZSP. Dokonywano oceny całorocznej pracy i dorobku zespołów.

Miejmy nadzieję, że nie wszędzie oceny zespołów brzmiały w podobny sposób jak w Stalinogrodzie, gdzie mimo dobrej organizacji eliminacji i niezłego poziomu zespół mógł się dowiedzieć o swej pracy tylko tyle:

— Zespoły instrumentalne SI Częstochowa i WSE Stalinogród: SI — powinna brać utwory o łatwiejszym układzie, gdyż możliwości techniczne członków zespołu są mierne.

WSE — nie wolno w zespole salonowym używać efektów jazzowych (np. przygłuszenie orkiestry przez saksofon).

Przy opracowywaniu utworów zespoły powinny ustalić dynamikę, oraz przydzielić partie solowe. Należy zwrócić uwagę na szlachetniejsze brzmienie blachy! (?!!)

Tyle za cały rok pracy.

Przykład, wydawałoby się, jest może zbyt jaskrawy. Przecież ci ludzie poświęcili całą pogodną niedzielę, aby dyskutować do późnej nocy nad formalnymi błędami „artystów". A jednak w efekcie zespołom zrobiono krzywdę, nie pokazano im najważniejszych błędów i osiągnięć, nie pokazano wzorów.

Pisaliśmy już o kryteriach oceny zespołów, o wychowawczej roli instruktorów prowadzących zespoły i instruktorów, którzy z ramienia RN ZSP „kontrolują" zespoły (PO PROSTU nr 33 „O pełny sukces"). W dalszym ciągu jednak na tym odcinku zmieniło się bardzo mało.

Osobiście wydaje mi się, że nawet „szlachetniejsze brzmienie blachy" nie pomoże, jeżeli zespół będzie obserwowany tylko w czasie eliminacji i jeżeli nie będą nim kierowały szlachetne pobudki kulturalnych twórców kultury.

O tych sprawach powinni mówić nie tylko sędziowie konkursu, lecz przede wszystkim młodzież na ogólnych zebraniach wszystkich zespołów danego środowiska, jakie powinny odbyć się po eliminacjach.

RYSZARD WIŚNIOWSKI

I miejsce — Rokitnica

Co? Naprawdę? Naprawdę my? — głos w słuchawce wyraża radosne zdumienie.

— Tak — kol. Jasińska, przewodnicząca KO ZSP uśmiecha się — powtarzam wam jeszcze raz. I chór i zespół taneczny Akademii Medycznej — Rokitnica zdobyły na tegorocznych eliminacjach I miejsce!

Taki oto — w poniedziałek rano — był finał niedzielnych eliminacji studenckich zespołów artystycznych uczelni śląskich.

*

Na pięknej widowni Pałacu Młodzieży, gdzie odbywały się eliminacje, zbierała się już publiczność, a auta wiozące zespoły częstochowskiej SI znajdowały się jeszcze daleko od Stalinogrodu. Nie czas było myśleć, kto tu zawinił — istotny był fakt, iż studenci SI mieli zacząć występy o 9, a już w tej chwili zegarki wskazywały 9. Wreszcie miasto, samochody zajeżdżają do śródmieścia. A teraz — prędko... prędko... przebrać się, nastroić instrumenty...

Kurtyna idzie w górę i... eliminacje rozpoczynają się.

W ciągu ostatniego roku praca kulturalna w SI znacznie się ożywiła. Wynikiem tego — różnorodność występów (zespołowe i indywidualne) i repertuaru (śpiew chóralny i solo, orkiestra, tańce, deklamacje, montaże słowno - muzyczne itp.).

Wiele obiecywano sobie po występie grupy agitacyjno - artystycznej III r. budowy maszyn i I r. włókienniczego, ale oczekiwania zawiodły.

Członkowie grupy byli głęboko rozżaleni. Kiedy wystąpili na własnej uczelni — wywołali huragany śmiechu i żywe oklaski. Tymczasem na eliminacjach... Wprawdzie niektóre numery orkiestry, czy męskiego trio spotkały się z uznaniem, a montaż słowno - muzyczny o zbójniku Janosiku stał na wysokim poziomie artystycznym, tchnął najczystszą poezją, ale konferansjera spotykało chłodne milczenie sali. Dlaczego?

Uroczą piosenkę „Hej przeleciał ptaszek"... konferansjer SI — kol. Waldemar Bachmacz, zapowiedział posługując się bzdurną historyjką o pobycie na obozie wojskowym, gdzie rzekomo po to, aby uchronić się przed obieraniem kartofli wyjechano z występem do ptasiej fermy. O kierowniku grupy i dyrygencie, a jak go koledzy nazywają „duszy zespołu", Jurku Klateckim, konferansjer mówił: „Kol. Klatecki wyróżnia się tym, że przebywa 3 rok na... III roku", nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, że nie wszyscy na sali znają Klateckiego jako dobrego i pracowitego studenta. Dowcipy kol. Bachmacza na temat pracy — a więc tego, co jest najpiękniejsze i otoczone największym szacunkiem w naszym ustroju, stały poniżej wszelkiej krytyki — cóż więc dziwnego, że pracowite społeczeństwo Śląska nie tylko się nie śmiało, ale było konferansjerką wręcz zgorszone.

Grupa agit. - art. SI nie dyskutowała wspólnie nad konferansjerką, nie zastanowiła się nad jej wymową i znaczeniem. To niedopatrzenie okazało się poważne w skutkach, obniżyło sens i wartość występów przygotowywanych z tak wielką sumiennością, entuzjazmem i radością.

*

W czasie gdy przez scenę przewijają się zespoły — rozemocjonowane i oddające wszystkie siły, by zaprezentować się jak najlepiej — niemniejsza emocja panuje za kulisami. „Aktorzy" poprawiają suknie i stroją instrumenty, dodają sobie otuchy, proszą o ocenę występów.

Kol. Ryszard Nowosad z WSE wygląda jak uosobienie rozpaczy. Właśnie przed chwilą jego grupa (8 I r. finansów pokazała montaż pt. „Partia prowadzi", w czasie którego stało się „straszne" nieszczęście. Jeden z kolegów przez pomyłkę zaczął recytować partię koleżanki i naturalnie ku konsternacji i studentów i widzów „sypnął się". Mało tego — sam kol. Nowosad musiał deklamować tekst kolegi, który był łaskaw... po prostu nie przyjść. Ryszard jest pewny, że deklamował strasznie (przecież zupełnie nie był przygotowany) i nie chce wierzyć, że wypadł najlepiej spośród kolegów ze swojej grupy.

Nagrody grupa wprawdzie nie otrzymała, ale nie to było jej celem. Montaż „Partia prowadzi" przygotowali dla uczczenia II Zjazdu PZPR i pojadą z nim w maju do jednej z okolicznych wsi, by opowiedzieć chłopom o walce, pracy i zwycięskiej drodze przewodniczki naszego narodu.

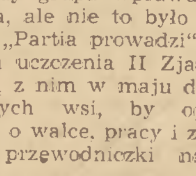

*

Głos i miejsce mają zespoły — chóralny i taneczny AM w Rokitnicy. Na eliminacjach w ubiegłym roku występy baletu AM zostały surowo skrytykowane, nieomal zdyskwalifikowane za formalizm i niesłychanie niski poziom. Zespół taneczny, który występuje obecnie, niewiele ma wspólnego z zeszłorocznym, powstał bowiem zaledwie pół roku temu. Ale postanowił przełamać złe tradycje rokitnickiej AM. Pracował istotnie solidnie, a dbałość o występ przejawiła się najdobitniej w pozornej drobnostce. Zespół postarał się o stroje na kilka dni wcześniej, aby je wyprać, wyprasować.

Wszystkie oczy z ciekawością wpatrują się w barwne sylwetki „tancerzy" wkraczające na scenę w rytmie poloneza. Wdzięk, urok dziewcząt i chłopców przy doskonałym opanowaniu przez zespół techniki tańca stworzyły z „Suity tańców polskich" widowisko malownicze i na wysokim poziomie artystycznym.

Grupa IV III r. WSE wystawiła dramat Morstina „Mikołaj Kopernik"

Melodia często się zmienia — po polonezie kujawiak, polka, oberek, wreszcie ognisty mazur. Wirują kolorowe suknie dziewcząt, następujące po sobie coraz ładniejsze i trudniejsze figury taneczne są wykonywane zawsze z tą samą lekkością i precyzją. Wreszcie cichną ostatnie takty muzyki, ale publiczność długo nie chce puścić studentów ze sceny.

I kiedy zaraz po balecie występuje chór tejże samej uczelni — widownia, oczarowana zespołem tanecznym, wita go równie serdecznie. Nikt się zresztą nie rozczarowuje. Pieśni Wojtowicza i Moniuszki chór odśpiewał i ładnie i ze zrozumieniem.

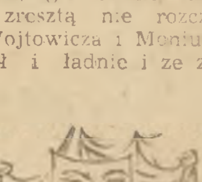

*

A późnym popołudniem rozsuwająca się kotara ukazuje rynek toruński z XV w. To 4 gr. III r. finansów WSE opracowała fragment dramatu Morstina „Mikołaj Kopernik". Cofamy się o kilkaset lat wstecz słuchając odtwórcy roli głównej — Jurka Krzykały, który dyskutuje żywo o „swoim" dziele z reakcyjnym kardynałem — (Erykiem Majerem).

Kol. Świąder, przewodniczący KU ZSP w WSP, ma wielką tremę. I nic dziwnego. Jego uczelnia wystawia „Odprawę posłów greckich", a tymczasem odtwórca roli posła zachorował. Kol. Świąder uczył się tekstu przez całą noc, ale... — „Czy się nie zblamuję, czy nie obniżę poziomu przedstawienia" — serce bije mu mocno, gdy staje na jaskrawo oświetlonej scenie, by opowiedzieć pięknej Helenie o przebiegu narady Trojańczyków z Grekami.

Chyba fakt, iż zespół dramatyczny WSP otrzymał I miejsce za sztukę „Odprawa posłów greckich" był najlepszą odpowiedzią i dla kol. Świądra i dla wszystkich kolegów, którzy tak się niepokoili występem.

*

Eliminacje zbliżają się ku końcowi. Jeszcze w Pałacu Młodzieży występują „artyści" WSE i WSP, a tymczasem zespoły SI i Politechniki Śląskiej rozjeżdżają się do okolicznych kopalń, by zaśpiewać i zatańczyć przed górnikami, spędzić z nimi miły wieczór.

H. G.

małym miasteczku

Śląskiej w sali klubu fabrycznego kopalni „Wieczorek"...

Tymczasem przed klubem zbiegowisko. Stoją tutaj studenci, którym koniec „podróży" bynajmniej nie przerywa dotychczasowego zajęcia; piosenka za piosenką, dowcip za dowcipem dobiegający z ich koła do trzymających się dotąd z rezerwą mieszkańców oswaja ich z gośćmi. Podchodzą bliżej, chcąc widzieć i słyszeć wszystko co się dzieje w rozbawionym kółku, wreszcie po chwili nie można już rozróżnić kto jest przybyszem, a kto mieszkańcem Janowa.

Sala klubu wypełniona jest po brzegi. Orkiestra zajmuje dużą część sali, balet z niedowierzaniem spogląda na maleńką scenę — publiczność zaś z niemniejszym na tych, którzy jeszcze przed chwilą psocili beztrosko.

Na sali jest gorąco, nawet bardzo gorąco. Może to wina publiczności, która mocno oklaskuje każdą piosenkę, śpiewaną przez zespół, każdą melodię graną przez orkiestrę, każdy taniec wykonywany przez balet. Może winne są temu gorące serca jednych i drugich — młodych dziewcząt i chłopców i starych górników, którzy patrząc na zespół przypominają sobie swe własne młode lata.

Serdeczny i bezpośredni kontakt nawiązali studenci z salą. Pośrednikiem była piosenka. I to jaka!... Ta — którą wszyscy lubią i śpiewają — prosta i melodyjna — piosenka śląska, śląska „Karolinka". Zapomniano o zmęczeniu; to nic, że występują dzisiaj po raz drugi po rannym udziale w Festiwalu, co z tego, że czeka ich jeszcze daleka droga do Gliwic. Wystarczy popatrzeć na salę, by zapomnieć o wszystkim — setki oczu wpatrzone w scenę, uśmiechnięte twarze, z których wyczytać można zadowolenie, nogi cichutko przytupujące do taktu...

Wreszcie kulminacyjny moment koncertu — członkowie zespołu stają się publicznością — cała sala śpiewa dla nich piosenki!

Trudno powiedzieć komu było bardziej przykro, że koncert zakończył się, że trzeba wracać do domu. Górnicy z „Wieczorka" długo wspominać będą spotkanie z gliwickim zespołem, niemniej długo pozostanie ono w pamięci studentów, tych samych, którzy po długich godzinach spędzonych nad rysunkiem i książką teraz piosenką, tańcem i entuzjazmem młodości płoszą ciszę małych miasteczek.

ZBIGNIEW SWOBODA

Przenosimy się teraz do pałacu Księżnej. Odbywa się tam zapowiedziany bal. Przybywają coraz to nowi goście. Książę jest pochmurny. Nie interesuje go ani zabawa, ani piękne kobiety. Nie bawią go żarty książęcego błazna. Nagle heroldowie obwieszczają przybycie nowego gościa. Dostojnie wchodzi nieznany nikomu mężczyzna i olśniewająco piękna kobieta. To Rudowłosy przybywa na bal ze swą córką Odyllą — łudząco podobną do Odetty. Książę daje się zwieść, bez wahania oświadcza matce, że to jest właśnie jego przyszła żona. Zwycięski Rudowłosy skinął ręką i na tle jeziora pokazuje się drżąca postać Odetty. Książę przejrzał. I podczas, gdy przerażeni dziwnym zachowaniem się Rudowłosego goście w pośpiechu opuszczają pałac, Książę biegnie nad jezioro.

(Na zdjęciu — scena z aktu III: Rudowłosy — R. Radek, Książę — B. Stancak, Odylla — J. Majewska).

Nad jeziorem zrozpaczona zdradą Księcia, Odetta, opowiada wszystko swym towarzyszkom. Zgasła ostatnia nadzieja ratunku, teraz już do końca życia muszą być Łabędziami. Wbiega Książę, przybył tu, aby walczyć o szczęście dla Odetty i siebie. Zdradził przecież Odettę oszukany łudzącym podobieństwem Odylli. Wściekły w swej bezsilności Rudowłosy burzy ruiny zamku, wzburza jezioro i wreszcie przystępuje do walki. Walce Rudowłosego z Księciem towarzyszy burza. Wreszcie Książę pokonał Rudowłosego, który tonie we wzburzonych falach jeziora. Zwyciężyła miłość.

(Na zdjęciu — scena z aktu IV: Odetta — B. Kaczmarewicz).

Opracował: ANDRZEJ KAFLIŃSKI

Foto Copia

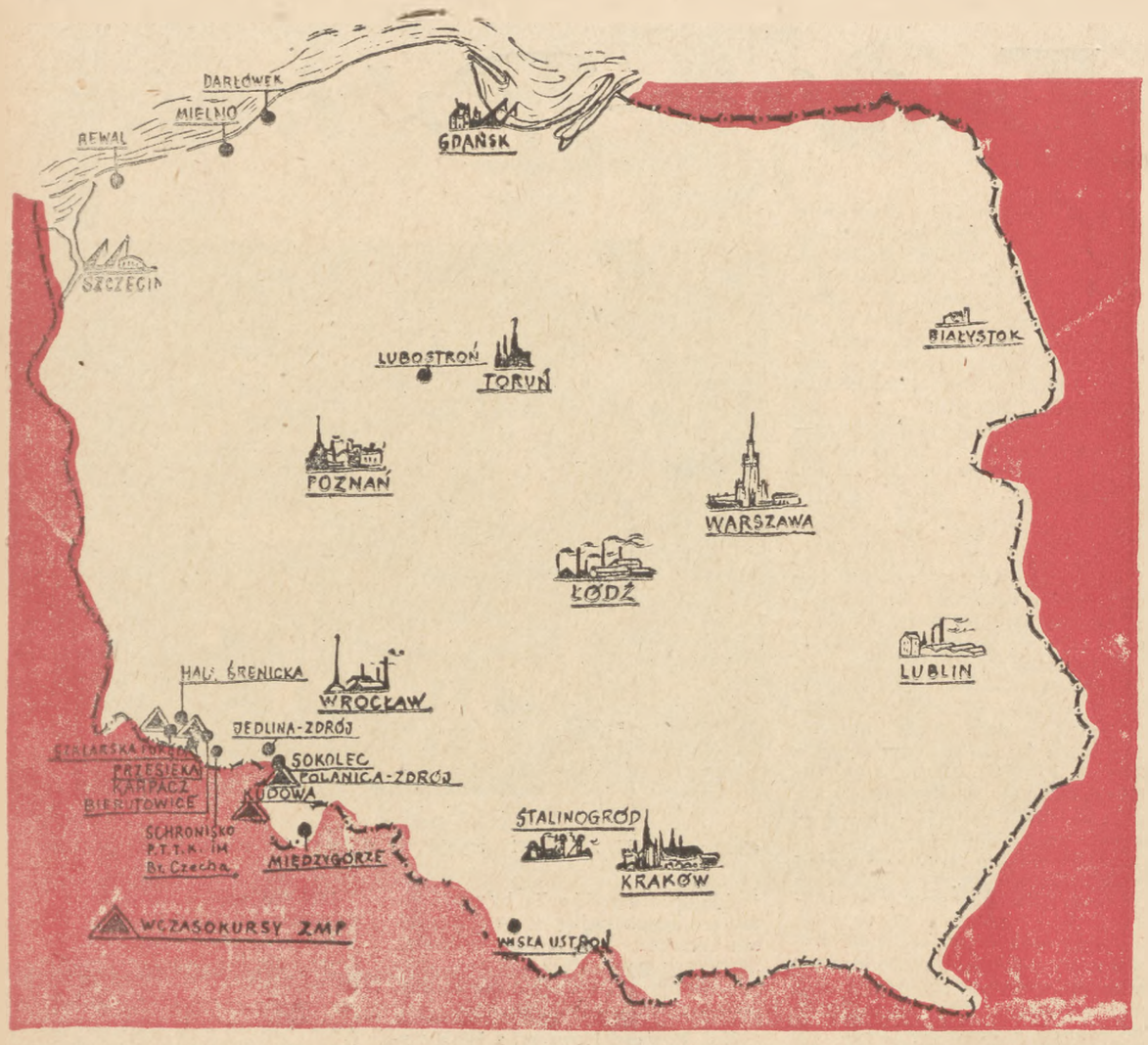

Na wczasy po zdrowie i radość

Już za kilka tygodni, po zakończeniu wiosennej sesji egzaminacyjnej, rozpoczną się ferie letnie. Z myślą o feriach nierozerwalnie wiąże się perspektywa zasłużonego po 10 miesiącach pracy wypoczynku — czy to u rodziny, wśród swych bliskich, czy też na wczasach studenckich.

Wczasy studenckie organizowane przez ZSP w lipcu, sierpniu i wrześniu, dzięki stale wzrastającym nakładom finansowym ze strony naszych władz państwowych, stają się z roku na rok coraz bardziej atrakcyjne i wartościowe.

W czasie nadchodzących ferii letnich z wszelkiego rodzaju wczasów w domach FWP, wczasów wędrownych, leczenia uzdrowiskowo-klimatycznego i prewentoryjnego skorzysta około 12.400 studentów. Oprócz tego wszyscy studenci, którzy potrzebują leczenia sanatoryjnego, będą skierowani do sanatoriów przez Centralne Wojewódzkie Przychodnie Przeciwgruźlicze.

Na przyjęcie studentów przygotowywane są domy Funduszu Wczasów Pracowniczych w najpiękniejszych okolicach Polski: w górach, na Pojezierzu Mazurskim i nad morzem. Przez dwa tygodnie uczestnicy cieszyć się będą słońcem, wodą, górami i powietrzem, organizować wycieczki do pobliskich miejscowości, uprawiać sport, urządzać wieczory artystyczne, dyskusje, ogniska, nie zapominając jednocześnie o zacieśnianiu więzów koleżeńskich z miejscową młodzieżą.

Ci studenci, których stan zdrowia wymaga leczenia uzdrowiskowo - klimatycznego, pojadą na 4 tygodnie do znanych miejscowości uzdrowiskowych.

W bieżącym roku zorganizowane zostały po raz pierwszy wczasy dla matek — studentek z dziećmi, które nie mają możności wspólnego wypoczynku z dzieckiem u rodziny. Odpowiednia ilość miejsc dla studentek ze swymi „pociechami" zabezpieczona została w Wiśle w miesiącach lipcu i sierpniu.

Z największym uznaniem uczestników spotkały się wprowadzone w ubiegłym roku wczasy wędrowne. Wprawdzie nieliczna garstka wygodnisiów i maminsynków, która przypadkowo dostała się na ten rodzaj wczasów, nie była nimi zachwycona, ale przytłaczająca większość przyjęła je z prawdziwym entuzjazmem. Nic dziwnego — przecież wczasy wędrowne są najbardziej radosną, wartościową, odpowiadającą młodzieży formą wypoczynku: umożliwiają poznanie piękna naszego kraju, zabytków kultury polskiej i rozwoju budownictwa socjalistycznego, wzmacniają więź studentów z ludźmi pracy miast i wsi, rozwijają przedsiębiorczość i tężyznę fizyczną, stwarzają z grup wędrownych zwarte, mocne kolektywy. Wartość turystyki najlepiej wyraził tow. Bierut: „Tylko poznawszy swój kraj, można najbardziej gorąco go kochać, tylko kochając swój kraj, można najbardziej owocnie dla niego pracować".

Z tych przyczyn wczasy wędrowne zostały w br. poważnie rozszerzone. Trasami wędrówek studenckich objęty będzie prawie cały kraj. Miłośnicy wędrówek górskich będą mogli przejść np. trasę Zakopane — Krynica lub wędrować po Karkonoszach. Dla zwolenników turystyki kolarskiej zorganizowany zostanie 6-etapowy „Raid dookoła Polski" na trasie: Poznań — Wrocław — Kraków — Lublin — Białystok — Gdańsk — Poznań. „Wodniacy" popłyną kajakami Wisłą lub po Pojezierzu Mazurskim, a może wybiorą żaglówki.

Pobyt na wczasach jest całkowicie bezpłatny, uczestnicy opłacają jedynie 15 zł kosztów manipulacyjnych. Otrzymują oni również zwrot kosztów podróży z miejsca studiów do ośrodka wczasowego i z powrotem.

O uzyskanie miejsca na wczasach ma prawo ubiegać się każdy członek ZSP, który posiada ważną legitymację członkowską oraz wykazuje się dobrymi wynikami w nauce. Pierwszeństwo w uzyskaniu wczasów mają przodownicy nauki, wczasy bowiem są jedną z form wyróżniania i nagradzania przodujących studentów.

Starając się o wczasy, należy wypełnić kwestionariusz uczestnika wczasów letnich i złożyć go u męża zaufania. Studenci ubiegający się o leczenie uzdrowiskowo - klimatyczne czy w prewentoriach przeciwgruźliczych składają zaopiniowane przez opiekuna grupy i męża zaufania kwestionariusze bezpośrednio w Komisji Lekarskiej przy Zespole Leczniczo - Profilaktycznym dla studentów, gdzie przejdą odpowiednie badania lekarskie.

*

Przed aktywem Zrzeszenia Studentów Polskich stoi poważne zadanie jeszcze bardziej starannego niż w roku ub. przygotowania letniej akcji wczasowej, aby poważne fundusze przeznaczone na ten cel przez Państwo Ludowe, były z jak największym pożytkiem wykorzystane.

Rozdział miejsc na wczasy powinien być przeprowadzony jak najbardziej słusznie. Na wczasach znaleźć się mogą tylko ci studenci, którzy rzeczywiście na nie zasługują. Wyplenić musimy z prac kwalifikacyjnych resztki wszelkiego kumoterstwa, bezduszności i mechanicznego przyznawania poszczególnych rodzajów wczasów bez uwzględnienia stanu zdrowia i zainteresowań studentów. Nie mogą mieć miejsca spotykane w ub. roku wypadki przyjazdu studentów na wędrówki żeglarskie i piesze, tylko z tej przyczyny, że „wciśnięto im skierowanie do ręki".

Szczególną uwagę aktyw ZSP wspólnie z aktywem AZS powinien zwrócić na przygotowanie grup wędrownych. Jeszcze przed wyjściem na trasę, grupy wędrowne powinny stanowić dobrze zgrane kolektywy, przygotowane do wędrówki zarówno od strony sportowej, jak i ideowo - wychowawczej. Wędrówka — to nie tylko radosny wypoczynek, przynoszący dużo wrażeń i zadowolenia, ale jednocześnie poważny egzamin społeczny. O tym powinni pamiętać wszyscy uczestnicy grup wędrownych i aktyw Zrzeszenia, organizujący te grupy.

Prace nad przygotowaniem wczasów przebiegać będą w okresie ostatnich intensywnych przygotowań do letniej sesji egzaminacyjnej. Muszą więc być tak zorganizowane, aby zabierały jak najmniej czasu zarówno studentom jak i aktywowi Zrzeszenia. Trudne to zadanie, ale musimy je jak najlepiej wykonać, aby po pobycie na wczasach letnich studenci wrócili na uczelnie w nowym roku szkolnym w pełni wypoczęci, z nowym zapasem sił i energii do pracy dla dobra naszej Ludowej Ojczyzny.

STANISŁAW KACZMAREK
Kier. Wydz. Warunków Studiów Rady Naczelnej ZSP

Rozmawiamy o programach studiów

DLACZEGO ŹLE SIĘ DZIEJE?

Jestem studentem II roku wydziału rybackiego WSR w Olsztynie. Przez ten dwuletni okres przekonałem się, że systematyczne studia w pełnym tego słowa znaczeniu w naszych warunkach nie są możliwe. Prawie całe dnie spędzamy na uczelni, do domu wracamy po 10 czy 12 godzinach zajęć, zmęczeni, bez sił i chęci do dalszej pracy. Gdy siadam do nauki o godzinie 20 czy 21, jestem tak wyczerpany całodziennym wysiłkiem umysłowym, że posiedzę trochę nad zeszytem i zasypiam. Rezultat tego jest taki, że mam coraz większe zaległości, a gdy przychodzi sesja egzaminacyjna — zaczyna się tragedia. Wszyscy na gwałt zaczynają się uczyć, a raczej kuć — wyłącznie z notatek.

Dlaczego tak się dzieje? Mnie się zdaje, że powodem tego jest zbyt krótki okres studiów w stosunku do wymaganego materiału. Dlaczego zniesienie dwustopniowości studiów nie dotyczy szkół rolniczych? Każdy rozumie, że fachowców w rolnictwie jest brak, ale nie zapominajmy o tym, że pora już zwrócić większą uwagę na jakość absolwentów.

Za przykład źle ułożonego programu studiów mogą posłużyć wykłady z ichtiobiologii, które mamy tylko przez jeden rok. Profesor dr Pliszka, który wykłada ichtiobiologię, nie może w tym czasie wyczerpać materiału, a przedmiot ten jest dla nas bardzo ważny. Powinien więc być wykładany przez 2 lata, przy czym w jednym roku wykłady obejmowałyby ichtiobiologię ogólną, a w następnym szczegółową. Podobne niedociągnięcia programowe dotyczą innych przedmiotów.

Wydział nasz jest bardzo młody i można powiedzieć, że jesteśmy „królikami doświadczalnymi". Sądzę, że przedmiotem doświadczeń trzeba się specjalnie interesować, aby eksperyment się udał. A tej opieki ze strony władz zbytnio nie odczuwamy, co się wyraża m. in. w nieprzemyślanym programie.

ZBIGNIEW KLEGER
WSR — Olsztyn

KŁOPOTY FARMACEUTÓW

W ostatniej sesji egzaminacyjnej na II roku farmacji najgorzej wypadł egzamin z anatomii i fizjologii. Przyczynę tego widzę przede wszystkim w tym, że przedmioty te są wykładane tylko w ciągu jednego semestru i to w bardzo szczupłym zakresie, poza tym nie mamy tu żadnych ćwiczeń pomocniczych. Studenci widząc, że przedmioty te w programie są potraktowane lekceważąco, nie kładli specjalnego nacisku na solidne przygotowanie się do egzaminów.

A przecież anatomia i fizjologia to dziedziny wiedzy, które dla farmaceutów również są konieczne. Absolwentowi pracującemu w aptece w małej miejscowości nieraz wypada np. udzielić porady lekarskiej w nagłym wypadku, a jakże może on dopomóc, gdy nie posiada wiadomości z anatomii opisowej i fizjologii?

Studia farmaceutyczne zostały obecnie przedłużone do 5 lat, anatomię i fizjologię wykłada się już na pierwszym roku, lecz również bez pomocy ćwiczeń. A więc znowu w studiach 5-letnich przedmioty te nie zostały należycie uwzględnione. Moim zdaniem anatomia i fizjologia winny być wykładane w szerszym zakresie, a co najważniejsze powinny być wprowadzone ćwiczenia z tych przedmiotów. Przydałaby się również (w zarysie ogólnym) anatomia patologiczna.

Drugim niemniej ważnym błędem naszego programu jest niewłaściwe zaplanowanie wykładów i ćwiczeń z chemii organicznej, która jest jednym z głównych przedmiotów na farmacji. Wykłady z tego przedmiotu mamy obecnie na drugim roku przez obydwa semestry, ćwiczenia zaś rozpoczynają się już w drugim semestrze, przed wyczerpaniem całości materiału na wykładach. Na skutek tego niejednokrotnie studenci nie mając należycie opanowanej teorii, zamiast praktycznych zajęć muszą na ćwiczeniach zapoznawać się z ogólnymi zagadnieniami teoretycznymi. Traci się przez to niepotrzebnie wiele czasu.

Ćwiczenia z chemii organicznej powinny odbywać się w następnym roku, gdy studenci mają opanowaną już dobrze całą chemię. Tak jest właśnie na wydziałach chemii na uniwersytetach, a powinno być tak i u nas.

MARIAN DOLIŃSKI
AM — Kraków

GEOGRAFIA CZY LOGIKA?

Dlaczego logika, która na studiach geografii jest przedmiotem dodatkowym, u nas jest wykładana przez dwa semestry po cztery godziny tygodniowo, podczas gdy przedmioty bardziej związane z kierunkiem studiów (jak geografia fizyczna Polski, geografia fizyczna świata, geofizyka i petrografia) mamy tylko w jednym semestrze? Oczywiście nie zaprzeczamy, że znajomość logiki jest potrzebna, ale wydaje mi się, że na pierwszym miejscu przed nią powinny stać przedmioty zawodowe.

Również poważną bolączką specjalizacji geomorfologicznej na geografii jest brak wykładów z geologii czwartorzędu. Wprowadzenie takich wykładów przyczyniłoby się do głębszego poznania powierzchownych form skorupy ziemskiej, którymi specjalnie zajmuje się właśnie geomorfologia.

JAN JANCZAREK
UBB — Wrocław

BIEDA Z KOLOKWIAMI

Wiadomo, że student musi mieć czas na studiowanie literatury fachowej. Jak ta sprawa przedstawia się na naszym wydziale chemii? Sam plan wykładów i ćwiczeń nie wygląda przeraźliwie: 36 godzin tygodniowo to wcale nie tak dużo.

Prawdziwa bieda zaczyna się jednak, gdy dojdziemy do obowiązkowych kolokwiów; co miesiąc są u nas okresy klasyfikacyjne, w których trzeba zdać kolokwia z czterech przedmiotów. Oprócz tego przed ćwiczeniami z fizyko-chemii należy również zdawać kolokwia. Nie wydaje mi się, aby w tych warunkach można było naprawdę twórczo studiować, a już nie ma mowy o zainteresowaniu się literaturą piękną i sztuką.

Skutek tego jest taki, że wielu studentów opuszcza obowiązkowe wykłady, aby się móc przygotować do jednego z wielu kolokwiów. Np. na wykładzie z technologii nieorganicznej w przeddzień kolokwium z technologii organicznej było nieobecnych prawie 50 proc. studentów. Jest jeszcze inne „wyjście" — studenci nie zgłaszają się do kolokwiów. Tak na przykład do kolokwiów z inżynierii chemicznej nie zgłosiło się wielu studentów, a przyczyna tkwiła w tym, że na przygotowanie się do kolokwium studentom pozostawał tylko jeden dzień dzielący je od kolokwium z technologii nieorganicznej.

Wydaje mi się, że aby umożliwić studentom twórczą naukę, należy rozpatrzyć możliwość znacznego zmniejszenia liczby obowiązujących kolokwiów. Dlaczego np. katedry fizyko - chemii i inżynierii chemicznej nie mogą poprzestać na przepytywaniu w ramach ćwiczeń i ograniczyć kolokwia jedynie do końcowego egzaminu, podobnie jak uczyniła to katedra ekonomii politycznej? Odciążyłoby to nas znacznie, pozwoliłoby o wiele lepiej opanować wykładany materiał i uzupełniać go odpowiednią literaturą naukową.

ŚWIETLANA BIAŁOZUR
Polit. Gdańska

EGZAMINY TEŻ TRZEBA ROZPLANOWAĆ Z „GŁOWĄ"

Wypowiedzi w POPROSTU na temat odciążenia studentów wywołały wśród nas istną burzę dyskusji. Zabierając głos w tej sprawie chciałbym zwrócić uwagę na zagadnienie właściwego rozplanowania egzaminów w sesjach egzaminacyjnych. Mianowicie sądzę, że bardzo niekorzystne jest przeładowywanie egzaminami jednej sesji z jednoczesnym odciążeniem drugiej.

Oto przykład: drugi rok wydziału weterynarii UMCS miał w sesji zimowej jeden egzamin i to niezbyt obszerny, natomiast w sesji letniej zdawać będzie aż 5 trudnych przedmiotów z chemią fizjologiczną i anatomią prawidłową na czele. Takie przeciążenie niektórych sesji wpływa niekorzystnie na systematyczną naukę oraz staje się przyczyną licznych ocen niedostatecznych i nieprzystępowania do egzaminów.

BOGUSŁAW PŁOTNICKI
UMCS — Lublin

O dyskusję nad skryptami

Uważni czytelnicy POPROSTU spostrzegli z pewnością nową rubrykę „O podręcznikach, skryptach i wydawnictwach naukowych". Przyciąga ona wzrok każdego studenta, który dotychczas, szukając w licznych księgarniach potrzebnej pomocy naukowej zdany był na własny spryt i... cierpliwość. Wprawdzie wydawnictwo regularnie przesyła rektoratom swój biuletyn nowości, jednak nie wszyscy studenci umieją z niego korzystać, nie zawsze też wykładowcy informują swoich słuchaczy o nowościach skryptowych z własnej i pokrewnych dziedzin. Wprowadzenie nowej rubryki ma m. in. na celu usunięcie tych niedomagań. Ale to nas jeszcze nie zadowala.

Pragnąc jak najbliżej dotrzeć do swoich odbiorców Państwowe Wydawnictwo Naukowe kilkakrotnie organizowało spotkania ze studentami i dyskusje nad skryptami. Niestety okazuje się, że o ile wykładowcy — a więc w poważnej części autorzy skryptów — chętnie i szeroko omawiają wydane pozycje, o tyle słuchacze wykazują zainteresowanie tak słabe, że niejednokrotnie na spotkaniach takich ilość przedstawicieli młodzieży równa jest zeru.

To kwitowanie milczeniem wysiłku autorów i wydawnictwa, jest sprawą szczególnie niepokojącą. Czyżby naprawdę studenci nie mieli nic do powiedzenia o podręcznikach i skryptach, które niejednokrotnie decydują o lepszym opanowaniu i pogłębieniu znajomości przedmiotu, a co za tym idzie o przygotowaniu się do zawodu na całe życie?

Aby móc stwierdzić, że studenci mogą i chcą mówić o swoich skryptach — pragniemy rozpocząć szeroką dyskusję, dyskusję nie ograniczającą się do wypowiedzi na temat trudności nabycia tego czy innego tytułu, lecz budującą krytykę wydawnictw. Należałoby np. za pośrednictwem POPROSTU poruszyć takie sprawy, jak treść skryptu, jego terminowość, jasność wykładu, terminologię, objęcie wykładanego materiału, zalety i braki techniki druku — słowem dziesiątki problemów nasuwających się każdemu studentowi przy pracy ze skryptem.

Ale wydanie podręcznika czy skryptu, zawiadomienie studenta, że pozycja już się ukazała — to zaledwie drobna część olbrzymiej pracy, jaką podjęło Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Począwszy bowiem od ustalenia planu potrzeb, poprzez wyszukanie autora, dopilnowanie terminu, napisania i dostarczenia redakcji pracy, opracowanie redakcyjne, techniczne i powielenie, aż po właściwe rozprowadzenie książki — wydawnictwo nieustannie czuwa nad właściwym zaopatrzeniem studentów wszystkich uczelni w kraju. Staramy się plan ten zrealizować w jak najwyższym procencie ilościowym i przede wszystkim jakościowym. Ostatnio zaczęto np. wydawanie skryptów drukiem, upodobniając je całkowicie do wydawnictw książkowych.

Należałoby też poruszyć sprawę wznowień pozycji wyczerpanych, nade wszystko zaś sprawę tzw. białych plam, a więc przedmiotów, które do dziś nie są jeszcze obsłużone jednym nawet skryptem. Wypowiedzi studentów tych poszkodowanych wydziałów na pewno przyspieszyłyby pracę wielu autorów nie umiejących zdecydować się na rozpoczęcie względnie ukończenie od dawna potrzebnego skryptu.

Taka dyskusja ułatwiłaby pracę autorom i wydawnictwu, pomagając usunąć istniejące trudności i w przyszłości usprawniając pracę setek i tysięcy ludzi — od wykładowcy poczynając, kończąc na studentach. Oczekujemy więc wypowiedzi studentów korzystających ze skryptów i podręczników PWN. Piszcie do nas — każdy głos będzie pilnie studiowany i wykorzystany ku waszej własnej korzyści. Czekamy!

JERZY KRZYŻANOWSKI
Państwowe Wydawnictwo Naukowe

O skryptach, podręcznikach, wydawnictwach naukowych

NOWE PODRĘCZNIKI PWN

Wojciech Rubinowicz — **Kwantowa teoria atomu**

Stanisław Tołłoczko — **Chemia organiczna**

Aleksander Kleczeński — **Leukocytoza w świetle czynności krwiotwórczych szpiku kostnego**

T. Lehr-Spławiński, W. Kuraszkiewicz, F. Sławski — **Przegląd i charakterystyka języków słowiańskich**

Przewodnik dla posługujących się piśmiennictwem do oznaczania zwierząt krajowych (opr. zbiorowe)

Lew Szniirelman — **Liczby pierwsze**

NOWE SKRYPTY

I. Adamczewski — **Fizyka.** Tom I

H. Buzun — **Mechanika ogólna.** Cz. II. **Kinematyka**

J. Goliszewski — **Technika sanitarna.** Cz. I

W. Staronka — **Chemia nieorganiczna i ogólna.** Cz. I

T. Malkiewicz — **Obróbka cieplna stali**

A. Dąbrowski — **Pomiary energetyczne.** Cz. I

K. Wesołowski — **Technologia metali.** Cz. I **Metalurgia**

Cz. Kalata — **Żeliwo wysokojakościowe**

W. Kamler — **Wentylacja i klimatyzacja.** Wyd. II

J. Dumnicki — **Materiały do projektowania.** Zeszyt 2. **Budownictwo samochodowe.**

Z. Łabęcki — **Miernictwo w zastosowaniu do potrzeb leśnictwa**

L. Szopa — **Wybrane wiadomości z weterynarii dla zootechników**

M. Pałasiński i B. Samotus — **Ćwiczenia z przemysłu rolnego**

A. Kintzi — **Ćwiczenia z maszynoznawstwa ogrodniczego**

J. Duda i K. Zodrow — **Ćwiczenia z mikrobiologii rolniczej.** Wyd. II

T. Biernacki — **Technologia przemysłu energetycznego**

W. Skrzywan — **Historia statystyki**

P. Małek — **Ekonomika transportu.** Cz. II

W. Patlikowski — **Statystyka transportu kolejowego**

Z. Mika i J. Morocznik — **Spedycja**

W. Sierpiński — **Przestrzenie metryczne**

B. Rosiński — **Anatomia i fizjologia człowieka.** Cz. III i IV **Układ krwionośny. Układ pokarmowy.**

Nasza Ziemia

Czytaliście już „Ziemię" Stenza w najnowszym wydaniu PWN? Jeżeli jeszcze nie, to radzimy pożyczyć lub nawet prędko kupić tę wspaniałą książkę, bo nakład niewielki (czemu?) i niedługo pozostaną po niej tylko westchnienia żalu tych, co jej nie zdobyli.

Książkę Stenza czyta się jednym tchem, choć to tylko geofizyka. Geofizyka to nauka o fizyce Ziemi, Ziemi, która nie jest tylko Ziemią geografów i geologów, jak zapewnia nas na wstępie autor. I słusznie, bo choć geografia i geologia to też bardzo potrzebne nauki, jednak nie mówią one ani o atmosferze ziemskiej, ani o wnętrzu Ziemi, dokąd sięga tylko wzrok geofizyka opierającego się na zdobyczach fizyki i matematyki.

Ale nie bójmy się! Kilka wzorów matematycznych i fizycznych znajdziecie w tej książce tylko „na lekarstwo" i to tak „ocukrzone", że czytelnik „połknie" je z prawdziwą przyjemnością i gotów żałować, że tych wzorów i rachunków w książce tak mało.

Treść, która w ujęciu podręcznika geofizyki jest trudna i nieprzystępna, została tu podana tak pociągająco, lekko i popularnie, jak tylko doskonały fachowiec i dobry pisarz potrafi to uczynić.

Czytając „Ziemię" Stenza dowiemy się, jak narodziła się nasza planeta i pozyskała księżyc, w jaki sposób metodą „ołowiową" mierzy się wiek tej planetarnej piękności, jak Europa odsunęła się od Ameryki i jak to było naprawdę z tym „potopem". Książka podaje też ciekawe wiadomości o wybuchach wulkanów, o zorzy polarnej, „spadających gwiazdach" i wielu innych zdarzeniach z życia i historii naszego globu.

Ziemia ma ciekawe życie i historię. Mówiąc słowami Engelsa: „Przyroda nie porusza się z wieczną jednostajnością... lecz przebywa rzeczywistą historię". A tę historię (czy setki różnych historii i historyjek) o naszej Ziemi podaje nam właśnie „nauka, zabarwiona całym czarem przyrody" — jak o geofizyce mówił wielki fizyk Smoluchowski.

Książka jest starannie wydana, bogato ilustrowana. Jej usterką, formalnej wprawdzie natury, jest brak skorowidza rzeczowego i imiennego.

E. B.

*

Edward Stenz: Ziemia. Fizyka wnętrza Ziemi, mórz i atmosfery. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1953, str. 280, 23 tablice, cena zł 20.

Z życia naszych uczelni

Miłe spotkanie

W dniu 23 i 24 kwietnia b. r. bawił w Akademii Medycznej w Białymstoku 128-osobowy zespół artystyczny warszawskiej Akademii Medycznej. Początkowo niektórzy członkowie zespołu starali się podkreślić, że są warszawiakami i, jak mówili, przyjechali do nas „w ramach łączności miasta ze wsią".

Jednakże już pierwszy dzień pobytu u nas przekonał miłych warszawiaków, że w naszej „wsi" nie jest tak źle. Nie lada wrażenie wywołało wyposażenie naszych zakładów i naszego DS.

„Nie daliśmy się" również w sporcie. Wynik spotkania w koszykówce między zespołem AM Warszawa, a AZS Białystok świadczył o niewielkiej przewadze gości (72:67).

W rozgrywkach tenisa stołowego zwyciężyli warszawiacy 6:4, natomiast w siatce AM Białystok wygrała 3:0.

Wieczorem w centralnym bloku AM, w dużej auli, odbył się występ artystyczny. Szczelnie zapełniona sala świadczyła najlepiej o zainteresowaniu występami warszawskiego zespołu.

Na program złożyły się pieśni solowe i zespołowe, tańce i wiersze oraz montaż satyryczny. Program opracowany był interesująco i stał na dobrym poziomie artystycznym. Potem zabrała głos orkiestra, a naszą aulę zapełniły wirujące pary. Ale wieczór zbliżył się ku końcowi.

Zespołowy okrzyk: „Warszawa żegna Białystok!", mocne uściski dłoni i warkot autobusu mówiły jasno, że to również koniec miłego spotkania. Chcemy ich jak najwięcej.

HENRYK MIKSZA
AM — Białystok

Pożyteczna współpraca

Na WSE w Krakowie wydział finansów, katedra finansów i kredytu oraz katedra rachunkowości zawarły jeszcze w 1952 r. i 1953 r. umowy o współpracy z instytucjami i przedsiębiorstwami finansowymi. Teraz po rocznej współpracy katedry finansów i kredytu z wydziałem finansowym Prezydium WRN w Krakowie można ocenić wyniki i korzyści jakie z niej wyniosły obie strony. Umowa o współpracy udostępniła katedrze finansów i kredytów szereg materiałów normatywnych, niedostępnych dla pracowników naukowych ze względu na swój charakter ściśle praktyczny.

Równocześnie ze studiowaniem tych materiałów pracownicy katedry zapoznali się z techniką funkcjonowania aparatu finansowego na odcinku budżetowym i gospodarki narodowej. Nad całością współpracy czuwał, biorąc w niej czynny udział, kierownik katedry — prof. dr St. Bolland.

Celem powiązania dyplomantów z zagadnieniami praktycznymi, pogłębienia współpracy i przygotowania do zawodu kwalifikowanych pracowników, wydział finansowy PWRN przyjął studentów na praktyki dyplomowe.

Katedra finansów i kredytów nie poprzestała na współpracy z wydz. fin. WRN. Zawarto również umowę o współpracy z wydziałem wojewódzkim NBP. Zadaniem współpracy jest m. in. obopólne pogłębienie problematyki finansowej oraz konfrontowanie uogólnień teoretycznych z praktyką.

W tym celu katedra korzystać będzie z materiałów normatywnych dotyczących całokształtu działalności finansowej banku oraz szczególnie interesujących katedrę zagadnień kredytów i rozliczeń finansowych. Natomiast dla pracowników banku, pracownicy naukowi wygłaszać będą wykłady, które ujmować będą problematykę bankową od strony teoretycznej.

Pierwszy wykład wygłoszony przez mgr J. Maciaszaka na temat: „Kredyty a obrót" wskazuje, że osiągnięcie celów postawionych przez obie strony w umowie jest na najlepszej drodze.

Również realnym wyrazem tej współpracy jest słuszne skierowanie zainteresowań I roku magisterskiego na zagadnienia kredytowe, które po II Zjeździe Partii nabierają szczególnego znaczenia w podniesieniu stopy życiowej mas pracujących miast i wsi.

ZENON ZIŻKA
WSE — Kraków

Sobotnie wieczorki

Z inicjatywy KU ZSP (wydz. PKM) przy Szkole Inżynierskiej w Szczecinie urządzane są w Osiedlu Studenckim „sobotnie wieczorki".

Mieszkańcy osiedla licznie na nie uczęszczają. Chętnie słuchają ludowych pieśni, arii i fragmentów operetek w wykonaniu solistów studentów SI — Aleksandra Oleśniewicza, Kazimiery Paszkowskiej czy Józefa Minkusa.

Jednym z bardziej udanych był wieczorek literacki poświęcony pamięci Juliana Tuwima. Prelegent omawiał życie i twórczość poety. Wplatane wiersze i melodeklamacje wiernie oddawały myśli i uczucia poety zawarte w recytowanych utworach. Zebranym podobały się najwięcej recytacje kol. Nadzic (wiersz pt. „Do córki w Zakopanem") i kol. Mikołajczyka („Mieszczanie").

Wieczorki organizowane przez KU ZSP przy SI zyskały już sobie dobre imię w środowisku studenckim.

SALOMEA KURCINOWSKA
SI — Szczecin

LPŻ pracuje

W naszej uczelni istnieje kilka organizacji masowych a między innymi i Liga Przyjaciół Żołnierza. Organizacja ta jest najmłodsza na naszej uczelni, bo powstała dopiero w grudniu w bież. roku akademickim.

Początkowo obawiano się, że będzie to jeszcze jedna organizacja zaledwie wegetująca (jak np. TPPR, którego zarząd „śpi snem sprawiedliwych"). Lecz okazało się, że jest wprost przeciwnie. Koło LPŻ liczy obecnie 134 członków i ma poważne osiągnięcia. Należy do nich przede wszystkim zorganizowanie kursu motorowego. Kurs motorowy I stopnia ukończyło 92 członków, kurs II stopnia kończy 44 członków. Ponieważ II stopień kursu jest płatny Zarząd Koła urządził 2 zabawy dochodowe, z których 3000 zł przeznaczył na koszty związane z ukończeniem kursu. Członkowie LPŻ, którzy osiągnęli dobre wyniki na kursie I stopnia i wykazali dużo aktywności, a znajdują się w trudnych warunkach materialnych — otrzymali z kasy LPŻ sumy od 50 do 150 zł na opłacenie indywidualnych kosztów związanych z ukończeniem kursu.

Osiągnięcia Koła są najlepszym bodźcem do pracy. Nawet ci, którzy odnosili się doń początkowo niechętnie, zmienili swój sąd i wciągają się do pracy.

Obecnie w stadium organizacji jest sekcja strzelecka LPŻ, a w planie — organizacja sekcji radiotechnicznej, krótkofalowej i żeglarskiej.

STANISŁAW DZIERAN
WSP — Łódź

Narada w poznańskiej WSR

Narada pracowników nauki z aktywem młodzieżowym WSR w Poznaniu zajmowała się następującymi zagadnieniami:

1. Podniesienie poziomu nauczania na WSR.
2. Zwiększenie limitów na wydziały rolne o 50%.
3. Zwiększenie ilości wydziałów (np. powstaje wydział ochrony roślin).

Wiele uwagi w dyskusji poświęcono stronie wyboru zawodu przez młodzież. Zapoznawanie uczniów szkół średnich z przyszłym zawodem odbywa się zbyt późno.

Zbyt mało mówi się o różnych możliwościach pracy po ukończeniu WSR.

Pracę agitacyjną należy prowadzić już od IX klasy a nie ograniczać się do jednorazowego spotkania z klasą XI. Organizacja ZMP-owska i ZSP powinny wykazać więcej zainteresowania tym problemem.

W dyskusji poruszono również sprawę złego rozkładu zajęć.

JAN SYDRY
WSR — Poznań

Tak nie powinno się postępować!

Rokrocznie odbywają się eliminacje grup studenckich na wyższych uczelniach. Według zapowiedzi Rady Naczelnej ZSP grupy, które zdobyły dwa pierwsze miejsca na eliminacjach uczelnianych, biorą udział w eliminacjach międzyuczelnianych danego środowiska.

Młodzież naszej uczelni zadowolona z wyników swej pracy i sukcesów w eliminacjach uczelnianych przystąpiła ze zdwojoną energią do przygotowań przed zbliżającymi się eliminacjami środowiska warszawskiego, słusznie spodziewając się, że weźmie w nich udział. Mimo dużego nawału pracy próby odbywały się regularnie, często do późna w nocy. Wykonawcy widzieli konieczność jeszcze lepszego przygotowania się i podniesienia poziomu wykonania swego programu. Komitet Uczelniany ZSP przydzielił nam specjalnego instruktora z Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Poświęciliśmy ogółem 30 godzin w ciągu niecałego miesiąca na intensywne przygotowania.

Tymczasem w przeddzień eliminacji (24 kwietnia) Rada Naczelna ZSP zawiadomiła nas telefonicznie, że „z powodu ograniczonego czasu dysponowania salą, w której mają odbyć się występy, grupy, które zajęły drugie miejsce, nie wezmą udziału w eliminacjach środowiskowych".

Przyjęliśmy tę wiadomość z wielkim rozczarowaniem. Tyle przygotowań, tyle poświęconego czasu na próby poszło na marne. Wydaje nam się, że postępowanie naszych władz ZSP w tym wypadku było niewłaściwe, demobilizujące. Można było przecież zawiadomić uczelnię o wiele wcześniej, ewentualnie postarać się o inną salę.

Tak postępując hamuje się nasz zapał do dalszej pracy kulturalnej.

JANUSZ ŁAŃCUCKI
AM — Warszawa

Korespondenci SYGNALIZUJĄ

KTO WINIEN?

Chciałam poruszyć sprawę naszych wyjazdów do Nowej Huty. Tak się jakoś dziwnie składa, że gdy studenci przychodzą na zbiórkę nie ma aut. Właściwie nie wiadomo kogo winić, czy organizatorów, czy zakład pracy, który miał przysłać samochody. Ostatni wypadek, który miał miejsce w niedzielę dnia 11 kwietnia, był już „szczytowym popisem" organizatorów wyjazdu. Owszem, wyjazd był zapowiedziany na parę dni przed terminem, a w sobotę przed południem jeszcze raz przypomniano ku przestrodze „zapominalskich". Nawet wieczorem tego samego dnia, na eliminacjach uczelnianych w MKS chór Politechniki wyjeżdzającym nazajutrz do Huty zadedykował 2 piosenki.

I co się okazało. Przychodzimy w niedzielę na zbiórkę, czekamy prawie godzinę, by wreszcie dowiedzieć się, że wyjazd jeszcze wczoraj został odwołany. Naturalnie na zbiórkę nie raczył się stawić żaden z organizatorów. Nie przyszli również studenci z domu studenckiego, którzy jakimś „cudem" dowiedzieli się o odwołaniu wyjazdu. Pytam się, dlaczego wcześniej nie dano o tym znać wszystkim wyjeżdżającym, narażając ich na stratę czasu i rozczarowanie?

ANITA KERNER
Politechnika Krakowska

„KTO SIĘ UMYWA, TEGO UBYWA"

Jeden jedyny raz w ciągu tego roku mogli mieszkańcy DS przy ul. Langiewicza 17 porządnie umyć się, gdyż tylko raz — ku naszemu zdziwieniu i radości — ukazała się ciepła woda. Było to trzy miesiące temu. Od tego czasu w naszych prysznicach ciepła woda więcej się nie pokazała i nie ma najmniejszej nadziei, że się zjawi, bo nikt — nie wyłączając Rady Mieszkańców — nic w tym kierunku nie robi. Chciałem nadmienić, że w DS przy ul. Osterwy administracja potrafi ten problem rozwiązać na korzyść mieszkanek.

Być może nasza administracja uważa, że „kto się umywa tego ubywa". Może jednak kompetentne władze spowodują, żeby chociaż jeszcze raz przed latem zagrzano nam wodę? Będziemy za to bardzo wdzięczni.

A. BOGUSZ
UMCS — Lublin

MOŻE ZOA USŁYSZY?

Mieszkam w Domu Studenckim przy ul. Tamka 4, już dwa lata. W ciągu całego tego okresu co dwa tygodnie psuje się kocioł, a naprawa jego trwa miesiącami, tak, że mieszkanki rzadko kiedy mają ciepłą wodę. Czy nie można by w końcu przeprowadzić albo gruntownego remontu, albo zainstalować nowe urządzenia? Te ciągłe naprawy są przecież związane z dużymi wydatkami a ponadto powodują stały brak ciepłej wody. Ostatnio nie ma jej od przeszło dwóch miesięcy.

KLARA ADLER
UW — Warszawa

SPROSTOWANIE

W nr 18 POPROSTU na str. 4 wkradł się przykry błąd. Piękny taniec rosyjski, którego fragmenty widzieliśmy na obydwu zdjęciach został wykonany przez Zespół WSP — Warszawa, a nie (jak zostało przez nas podane) przez PW.

Kolegów z WSP serdecznie przepraszamy za pomyłkę.

Uwaga!

W następnym numerze ogłaszamy wiosenną ankietę POPROSTU z nagrodami!

WYBORY „DELEGATA"

czyli historia ponura o obłudnych działaczach, maszynkach do głosowania i tajemniczym słowie „limit"

Rozdział I

RECEPTA NA WYBORY:

„Weź KOGOŚ i postanów, że ten właśnie KTOŚ będzie delegatem. Następnie urządź zebranie. Powiedz: „Proszę wysuwać kandydatury!" Kiedy wysunięte będą ze dwie — przerwij, że już dość. Teraz oświadcz W IMIENIU i Z RAMIENIA, że obie kandydatury nie mogą być przyjęte ze względów zasadniczych. Wysuń swoją kandydaturę. Każ przegłosować metodą: „Kto za? Kto przeciw?" Jeżeli na sali znajdą się głosujący „przeciw" — wezwij ich, aby głośno i wyraźnie umotywowali swoje stanowisko. W ten sposób twoja kandydatura ma 99 proc. szans zwycięstwa...

Receptę opracowali:

(—) Dziabała — z ramienia Zarządu Woj. ZMP — Gdańsk

(—) Gniech — działacz ZU ZMP Politechniki Gdańskiej.

Jedynie człowiek ograniczony nie pojmie całej doniosłości i wagi historycznej recepty, jaką wyżej wymienieni przedstawili ludzkości.

Jako marksiści — Dziabała i Gniech słusznie dostrzegli, że teoria nie sprawdzona przez praktykę jest bez waloru. Dlatego przy pierwszej okazji postanowili przekonać siebie i świat o genialności recepty.

Okazja przyszła 26 marca bieżącego roku.

Był to dzień bardzo uroczysty i doniosły dla obu racjonalizatorów. Trzeba było mianowicie przeprowadzić wybór delegata gdańskiej młodzieży studenckiej — na Spotkanie Przyjaźni z młodzieżą czeską i niemiecką w Jeleniej Górze.

Z głośników w Domu Studenckim przy ul. Hübnera 1-b popłynęło wezwanie, aby mieszkańcy zjawili się w świetlicy. Zeszli się tu studenci Politechniki Gdańskiej i WSP.

Wówczas — słuchajcie uważnie — wszystko zaczęło się dziać jak w recepcie.

1) Do prezydium weszli: kol. kol. Dziabała, Gniech, Jankowska (przewodnicząca koła ZMP na Politechnice) oraz referent.

2) Wygłoszono referat. Prócz frazesów były tam hymny pochwalne pod adresem studentów Politechniki, zapomniano natomiast o WSP, reprezentowanej dość licznie na sali.

3) Po referacie tow. Dziabała oświadczył wg recepty: „Proszę wysuwać kandydatury!".

4) Wysuniętą następujące: kol. Fliska pracownika etatowego aparatu ZMP z Politechniki i kol. Rakowskiego — przodownika nauki i pracy społecznej z WSP.

5) Teraz wystąpił kol. Gniech i ściśle wg recepty stwierdził: „Kandydatura kol. Fliska nie może być brana pod uwagę, ponieważ jest on pracownikiem etatowym aparatu. Zaś kandydatura kol. Rakowskiego też nie może być brana pod uwagę, ponieważ jest on... z WSP (i tu pogardliwe machnięcie ręką)"

6) Teraz kol. Gniech wysuwa kandydaturę kol. Jankowskiej. Dla wzmocnienia wrażenia występuje kol. Dziabała i oświadcza:

„Musi jechać kol. Jankowska, bo... Politechnika Gdańska jest największą uczelnią Wybrzeża i on — Dziabała z RAMIENIA ZW popiera tę kandydaturę".

*

Następują wybory. Dziesiątki tysięcy rąk z aplauzem unoszą się do góry. Okrzyki: „Wiwat Gniech" „Niech żyje Dziabała", „Na cześć twórców recepty wyborczej — hip hip!". Opornych nie ma, kandydatura przechodzi jednogłośnie...

*

Niestety, obraz zawarty między gwiazdkami miał miejsce jedynie we śnie naszych racjonalizatorów. Tak właśnie marzyli w szczęśliwą noc z 25/26 marca.

Naprawdę było inaczej...

Rozdział II

RECEPTA NA ODWRÓT I KLĘSKĘ

„Chcesz ponieść klęskę? Spróbuj nas bujać!

Receptę opracowali uczestnicy wyżej wspomnianego zebrania w DS nr 4".

Nawet Gniech i Dziabała muszą obiektywnie przyznać, że ta druga recepta jest o wiele bardziej niezawodna niż ich własna.

Bo oto oświadczenie Dziabały w sprawie kandydatury kol. Jankowskiej wywołało na sali nieprzewidziany szum.

Wbrew recepcie wyborczej wstają jeden po drugim koledzy, fatalni reakcjoniści, oporni konserwatyści i mówią:

„Że po co były frazesy o wyborze delegata całego ośrodka?" (kol. Sarnowski).

„Że to jest podrywanie demokratycznych zasad wyborczych, a tym samym autorytetu organizacji" (kol. Worski) itp. itd.

Wypróbowawszy swą receptę i widząc świetne wyniki jej stosowania, Gniech z Dziabałą zaczęli się cofać. Ponieważ recepta na odwrót została przez nich opracowana mniej starannie niż na wybory, więc też odwrót odbywał się raczej w popłochu.

Oto historyczny obraz:

„Musi jechać koleżanka, ponieważ pozostali delegaci Wybrzeża — to chłopcy" — powiada Dziabała.

„Jacy?" — pyta ktoś.

„4 delegatów z zakładów pracy, 2 wysyła ZW — są to pracownicy etatowi ZW".

„Dlaczego zatem wśród tych dwóch delegatów z ZW nie mogło być koleżanki?".

Wtedy w popłochu pada tajemnicze słowo „limit", ale za tą ostatnią barykadą jest już tylko puste pole. Trzeba się poddać...

I oto Gniech z Dziabałą podnoszą ręce do góry... w wolnych, demokratycznych wyborach za kandydaturami wysuniętymi przez salę.

Taki miała finał akcja wynalazcza dwóch działaczy.

Nie możemy sobie odmówić przyjemności zadedykowania powyższej historyjki.

„WSZYSTKIM TYM, KTÓRZY PRACOWALI, PRACUJĄ LUB BĘDĄ PRACOWAĆ NAD PODOBNĄ RECEPTĄ WYBORCZĄ".

Naprawdę nie warto! Jest to wynalazek stary i całkowicie skompromitowany.

Lepiej nie ryzykować, bo przy sprawdzaniu recepty może nastąpić wybuch o wiele groźniejszy, aniżeli w DS nr 4 w Gdańsku.

Opracował na podstawie korespondencji kol. S. Łuszczyka.

TAST

ryś. J. Ćwiertnia

pokrzywy

MINAL

Na oblewacza

Ciągle coś oblewał —
Świątki, imieniny...
Nie dziw więc, że oblał
Również egzaminy.

— Bardzo przepraszam, czy pan już zdawał u mnie egzamin?

— Tak panie profesorze, zdawałem.

— To dlaczego pan mi się kłania?

NIEPOROZUMIENIE

— Jak się koleżanka czuje przed egzaminem z budownictwa?

— Nieszczególnie, kolego. Nie przerobiłam malowania ścian. A czy kolega też na egzamin?

— Tak. Właśnie mam egzaminować.

(„Politechnik")

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik".
Redaguje kolegium
Adres Redakcji: Warszawa 18 ul. Wiejska 17/1 Telefony red. nacz. — 841 24 Centrala 832 91
Prenumerata: w urzędzie pocztowym najbliższym miejsca zamieszkania lub PPK „Ruch". Konto PKO nr 18003 — Warszawa w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następny. Miesięcznie zł 1.40 kwartalnie 4.20 półrocznie — 8.40 rocznie — 16.80
Administracja: RSW „Prasa" III Delegatura, Warszawa, ul. Marszałkowska 8 tel. 807 11
Drukarnia: RSW „Prasa" Warszałkowska 3/5
5 B 13576

VII WYŚCIG POKOJU

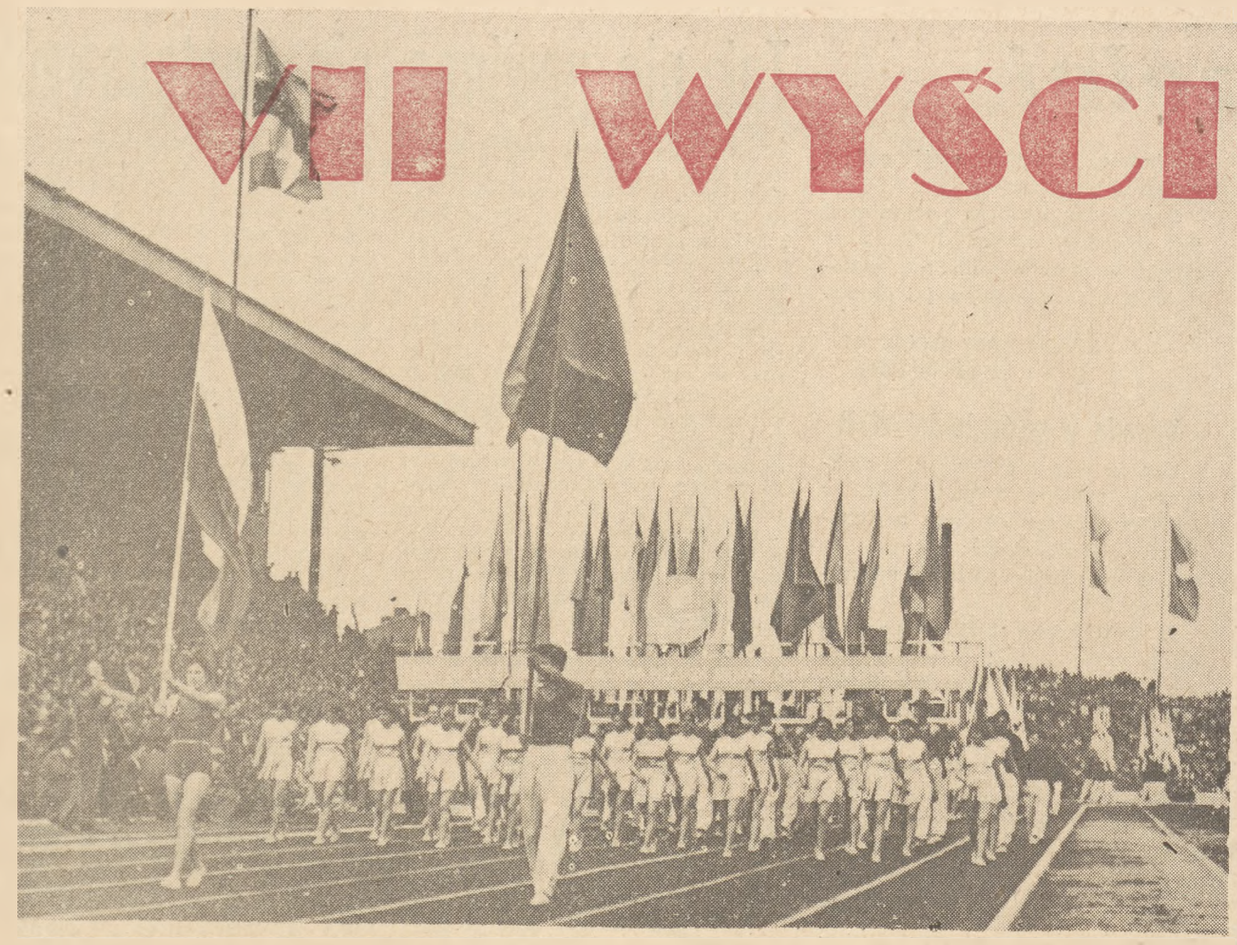

Studenci Akademii Wychowania Fizycznego maszerują na czele kolumny sportowej podczas uroczystości otwarcia VII Międzynarodowego Wyścigu Pokoju.

Drużyna polska przed startem do drugiego etapu Wyścigu Pokoju na Placu Konstytucji w Warszawie
Foto CAF

Studenci jadą

Z trudem przedostałem się przez tłum otaczający hotel Orbisu.

Wszedłem do hallu. Wielojęzyczny gwar, nawoływania, bieganina. Ponad stu zawodników starannie przygotowywało sprzęt, odbywało narady, rozdawało autografy, udzielało wywiadów. Kręciłem się chwilę niepewnie, spoglądając z zazdrością na rutynowanych reporterów zbierających wywiady, informacje. Wiedziałem, że jako debiutant w tej roli nie jestem tak zręczny jak oni. Zacząłem rozmowę z Pawlisiakiem, usiłowałem porozumieć się z Rużiczką, ale wiedziałem, że to wszystko nie to co trzeba. Wtem zatrzymało mnie pytanie:

— Cześć, Andrzej — co tu robisz?

— Piro Angjeli, kolarz albański i student warszawskiej AWF przywitał się ze mną i dowiedziawszy się o mych kłopotach obiecał swą pomoc.

— O, tu masz studenta — powiedział. — Pomogę ci w roli tłumacza.

Billail Agalliu, studiujący w Tiranie WF, uśmiechnął się i zaczął mówić w niezrozumiałym dla mnie języku.

— Jestem członkiem Zrzeszenia Sportowego „Studenty" w Tiranie. Kolarstwo uprawiam trzeci rok — tłumaczył Piro. — Wyścig Pokoju — to moja pierwsza próba międzynarodowa. Pocieszam się tylko, że nie jestem wśród tej doborowej stawki jedynym debiutantem i że... nie jestem najmniejszy. Jesteśmy równi wzrostem z Elkiem Grabowskim, z którym zdążyłem się już zaprzyjaźnić. Kilka miesięcy temu widziałem w Tiranie film polski „Miasto nieujarzmione". Sądziłem, że po przyjeździe do Warszawy zobaczę same ruiny. A tu wręcz coś odwrotnego: wspaniałe, nowoczesne gmachy, Pałac Kultury i Nauki — obawiam się, że nie poznam miasta, gdy przyjadę do Polski studiować w AWF.

— To kolega wybiera się do nas? — spytałem.

— Tak. Mam nadzieję, że we wrześniu 1955 roku będę już warszawskim studentem.

Przy kiosku zobaczyłem kupującego znaczki pocztowe Hindusa. Zaryzykowałem.

— Are you a student? — zapytałem.

— Yes.

— To Tarit Sett — podpowiedział mi któryś z dziennikarzy. Akademicki mistrz Indii w kolarstwie dowiedziawszy się, że jestem z tygodnika studenckiego nie czekał na moje pytania.

— Studiuję czwarty rok biologię w Kalkucie. Kolarstwo uprawiam od dawna. W tym roku zdobyłem Akademickie Mistrzostwo Indii. Od dawna marzyłem o tym, aby wziąć udział w Wyścigu Pokoju. Myślałem o tym będąc na Olimpiadzie w Helsinkach. Udało się nareszcie w tym roku. Zająłem trzecie miejsce w eliminacjach, potem paszport... Polacy są gościnni — spotkaliśmy się naprawdę ze wspaniałym przyjęciem, szczególnie ze strony „łowców autografów". Ci, żadnemu z naszej drużyny nie przepuszczą. Wiedziałem, że zapytacie o szanse. Trochę mi dokucza noga, a oprócz tego wasz klimat jest nie do zniesienia. Zastanawiamy się czy nie jechać w futrach, chyba regulamin tego nie zabrania — prawda?

Tłum rzucił się do wejścia. Zamigotał czerwony turban.

— Udało mi się uciec z życiem — śmiał się Amarsit Singh. — Myślałem, że mnie zagniecią. Jesteście naprawdę gościnni. Nie przypuszczałem, że wzbudzimy takie zainteresowanie. Czy kolega jest też studentem? — zapytał.

Przytaknąłem.

— To dlaczego kolega pali? U nas studenci nie palą. Zakazuje regulamin uczelni i nasza religia. Przepisy religijne zakazują również jeść wieprzowinę i wołowinę — to sprawia największy kłopot waszym kucharzom. Studiuję w Bombaju na Khalsa — Collegie, literaturę i języki. W Europie jestem pierwszy raz. Bardzo mi się tutaj podoba. Widziałem Genewę, Pragę, ale najpiękniejsza jest wasza Warszawa. Reprezentacja nasza została wyłoniona na podstawie ogólnoindyjskich Mistrzostw Narodowych, w których zająłem czwarte miejsce. Wrócimy do kraju dopiero 5 września. Przedtem weźmiemy udział w zawodach w Wiedniu, w Igrzyskach Wspólnoty Brytyjskiej w Kanadzie i w mistrzostwach torowych w Kolonii.

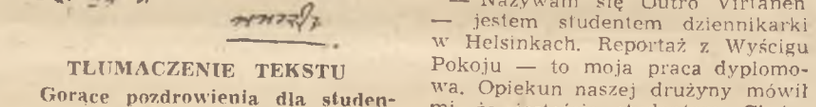

TŁUMACZENIE TEKSTU

Gorące pozdrowienia dla studentów polskich przekazuję od wszystkich studentów w Bombaju. Jestem bardzo szczęśliwy, że mogę wziąć udział w Wyścigu Pokoju i zobaczyć waszą Warszawę.

AMAR TIT SINGH

Amar Tit Singh
rys. Ałaszewski

— Ja też nie — powiedział mój rozmówca.

— Nazywam się Outro Virtanen — jestem studentem dziennikarki w Helsinkach. Reportaż z Wyścigu Pokoju — to moja praca dyplomowa. Opiekun naszej drużyny mówił mi, że jesteście studentem. Chciałem otrzymać od was kilka słów dla naszego studenckiego pisma.

— To może udzielimy sobie nawzajem wywiadu — zaproponowałem.

Virtanen zgodził się i zaczął się „wywiad na dwie strony". Zachwycał się Warszawą — pochodem Pierwszomajowym, serdecznością i gościnnością, z jaką spotkał się w Polsce — tempem naszej budowy i wspaniałą organizacją Wyścigu. Pytał o nasze warunki studiów, mówił o swoich trudnościach, o małej liczbie studentów z powodu braku domów akademickich.

— Życzę powodzenia waszym kolarzom — przekażcie pozdrowienia wszystkim studentom Polski.

*

Wiktor Werszynin pochylony nad rowerem naprawiał przerzutkę. Obok niego Mikołaj Kriuczkow dokręcał przednie koło. Obaj przygotowywali się do codziennego treningu. Zbliżyłem się.

— Jeszcze jeden dziennikarz — uśmiechnął się Kriuczkow. Powiedziałem, że jestem z POPROSTU — przerwali swoje zajęcia.

— Studiuję matematykę w Moskiewskim Instytucie Pedagogicznym — zaczął Kriuczkow. — Karierę kolarską rozpocząłem w roku 1947 w barwach zrzeszenia „Piszczewik". Z dotychczasowych sukcesów za największy uważam zdobycie drugiego miejsca w wyścigu Moskwa — Kijów — Mińsk. O szansach w Wyścigu Pokoju mogę powiedzieć tylko jedno słowo — zobaczymy!

— Tak! Zobaczymy — podchwycił Werszynin. — Damy z siebie wszystko. Kolarstwo uprawiam dość dawno. W ubiegłym roku zdobyłem tytuł wicemistrza ZSRR na 200 km. Jestem członkiem CDSA i słuchaczem Wojskowego Instytutu Kultury Fizycznej w Leningradzie.

Kolega Włodzimierz Kriuczkow doskonały kolarz radziecki i student wydziału matematyki Moskiewskiego Instytutu Pedagogicznego.
Foto Rostkowski

*

Podszedł do mnie młody człowiek w jasnym garniturze, z kartką papieru i ołówkiem. Powiedział coś, czego nie zrozumiałem. Szybko znaleźliśmy tłumacza.

— Przecież nie jestem kolarzem — szepnąłem przerażony.

Wyszedłem mocno oszołomiony. Złożyłem podpis w posuniętym mi przez jakiegoś chłopaczka notesie. Patrząc na flagi na hotelu myślałem o jutrzejszym starcie Wielkiego Wyścigu.

ANDRZEJ GABRYŚ

Na trasie i poza trasą

W Al. Niepodległości gęsty tłum napiera na sznury. Do pierwszych rzędów przepycha się energicznie student w politechnickiej czapce.

— Panie, wolnego, bo wygruzisz nas na jezdnię. Stój pan gdzie jesteś i nie pchaj się.

— Kiedy ja muszę widzieć.

— Każdy chce. Trzeba było przyjść wcześniej.

— Nie mogłem. Byłem na starcie na żeraniu i piechotą stamtąd przyszedłem. Bo tramwajem bym się nie dostał.

— No, to walcuj się pan, kiedyś taki bohater.

Na Placu Konstytucji pomruk oburzenia. Bezceremonialnie przepycha się przez tłum kominiarz, widocznie wprost z pracy, bo czarny na twarzy i z całym swoim sprzętem na plecach.

Tłum zebrany dla pożegnania kolarzy na starcie honorowym, szemrze, ale rozstępuje się szybko; nikt nie pragnie bezpośredniego zetknięcia z czyścicielem kominów. Po chwili oburzenie ustępuje miejsca głośnemu uznaniu. Kominiarz zbliża się do Wilczewskiego i Grabowskiego i dotyka ich ramion „na szczęście".

Jak wiemy, pomogło.

Na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi drobna staruszeczka kręci się niespokojnie. Zamknęła kiosk z gazetami, gdyż chce coś zobaczyć. Ale cóż, kilku wysokich mężczyzn zasłania jej widok. A tu już leci szum jak powiew wiatru: Jadą!.. Staruszka nieśmiało pociąga za rękaw stojącego przed nią mężczyznę: — Obywatelu, unieście chociaż łokieć. Zainterpelowany dobrodusznie unosi ramię. Staruszka wsuwa głowę w zaimprowizowane okienko. Jest rozradowana: widzi kolarzy.

*

Ranek. Tramwaj rusza z krańcowego przystanku. W rękach każdego pasażera rozłożona gazeta. U wszystkich na tej samej stronie. Pochylają się głowy nad tabelą wyników. Porównują czasy i miejsca: z pierwszego etapu, drugiego, trzeciego. A jak wygląda klasyfikacja ogólna po dwóch i trzech etapach? Ile minut ma nasza drużyna w zapasie? Który zespół najbardziej jej zagraża? Mozolne obliczenia trwają długo.

Kolumna kolarzy przejeżdża przez dużą wieś na trasie Łódź — Chorzów. Wita ją grzmiący marsz orkiestry strażackiej i przeraźliwy dźwięk kilkuset dzwonków rowerowych. Samopomoc Chłopska wespół z LZS zorganizowała specjalną wycieczkę na trasę Wyścigu Pokoju. Muzyka, gwar i okrzyki powitania prawie jak na ulicach miast. Nawet wzlatują stada gołębi sprowadzonych przez okolicznych hodowców.

Jak

— Trzymam zakład, że Grabowski na metę dwóch pierwszych etapów przyjedzie w czołówce! — zawołał Bonek Chojnacki spotkawszy mnie na Uniwersytecie w czasie zbiórki do Pierwszomajowego Pochodu.

— Stawiam ci dożywotnio ciemne piwo, jeżeli przyjedzie bliżej jak 20 do Warszawy i Łodzi i 50 do Stalinogrodu. Oprócz tego masz u mnie jeszcze „Obywateli" Brandysa.

Dziś zapłaciłem piąte duże ciemne. „Obywateli" kupię jutro.

Elek Grabowski.
rys. Ałaszewski

Wieczory w domach studenckich całej Polski upływają na niecierpliwych oczekiwaniach transmisji z Wyścigu Pokoju.

Na korytarzu warszawskiego DS przy ul. Karolkowej „niezaangażowany sportowo" Waldek Błoński skandował na cały dom:

— Gra-bow-ski, Gra-bow-ski!

a-g-a

Wykryj BŁĄD!

Rozwiązanie należy nadsyłać na adres Redakcji do dnia 25 bm. (decyduje data stempla pocztowego).

Wygrywają wszyscy

Jestem tzw. kibicem sportowym i z tej racji bywam na prawie wszystkich imprezach sportowych. Znam widownie wielu miast Polski, no, najlepiej Warszawy, znam żywiołową ich reakcję na rozgrywające się wydarzenia. Jako się rzekło, najczęściej odwiedzam boiska stołeczne a w szczególności — stadion WP.

Owej pamiętnej niedzieli dnia 2 maja stadion ten wyglądał trochę inaczej niż normalnie. Różnica nie polegała na dekoracji — widywaliśmy równie piękne; nie na frekwencji — na sensacyjnych spotkaniach piłkarskich stadion podobnie był wypełniony po brzegi; nie, różnica polegała na atmosferze, wyjątkowo uroczystej a przy tym serdecznej

Kiedy na bieżnię wkroczyły drużyny kolarskie reprezentujące 19 krajów, przedstawiane w kolejności przez spikera, widownia rozhuczała się długotrwałą, nieprzerwaną owacją.

Szły drużyny w porządku alfabetycznym, jedna za drugą, barwne dresy grały w majowym słońcu, błyszczały nowiutkie rasowe rowery, a publiczność biła brawa do opuchnięcia dłoni.

Bodaj najwięcej oklasków zebrali wysmukli i ciemnoskórzy kolarze Indii, jedyny zawodnik Triestu i... flaga włoska. Kolarze Włoch mimo zgłoszenia nie przybyli, bo rząd włoski nie dał im paszportów. Rząd Scelby nie chce przyjaźni między narodami, boi się jej.

Zarejestrowałem te fakty na poły mechanicznie nie analizując ich i nie wyciągając wniosków, gdyż uwagę moją pochłonęły szybko po sobie następujące wydarzenia: start honorowy, defilada sportowców, sztafety lekkoatletyczne i wyścigi torowe. A później rozpoczął się mecz piłkarski: Praga — Warszawa. I oto wrażliwym naskórkiem bywalca boisk wyczułem, że olbrzymia widownia dziwnie słabo przeżywa emocje piłkarskie, jakby poświęcając im tylko cząstkę swego zainteresowania. Nie słyszało się zwykłego dopingu swoich graczy. W czasie przerwy prawie się zapomniało o piłkarzach, wobec nadchodzących meldunków z trasy Wyścigu. Stadion szumiał gorączkowo, raz po raz zrywały się oklaski, gdy głośnik opowiadał o ucieczce czołówki. Komentowano wiadomości i przewidywano kolejność na mecie. Przewidywać od samego początku — ryzykowne zajęcie, trzeba by być jasnowidzem. Stary wyga jest tak samo mądry jak kompletny laik. Zwróciłem się więc do małego, może siedmioletniego chłopca: — A ty, jak myślisz? Kto zwycięży? Malec odpowiedział z powagą: — Ten, co przyjedzie pierwszy. Nalegałem: — Ale komu ty życzysz zwycięstwa, powiedz.

Zmarszczył czółko i zamyślił się:

— Ja bym chciał, żeby wszyscy wygrali. Oni wszyscy są tacy kochani. I Węgrzy i Czesi i Francuzi i ci w turbanach...

I nagle zrozumiałem. Oto jest klucz do zagadki, wyjaśnienie tej niezwykłej, jedynej w świecie atmosfery! Bo z całego świata zjechali się tu przyjaciele, by rywalizować ze sobą w wyścigu, który łączy narody, miliony ludzi najpiękniejszą ideą — ideą pokoju.

Doskonale rozumie i czuje to publiczność nie tylko ta na stadionie, ale na całej trasie Wyścigu i dlatego tak gorąco oklaskuje każdego, ale to każdego kolarza. Każdemu życzy szczerze sukcesów i martwi się jego niepowodzeniami.

W tym Wyścigu pod błękitną flagą pokoju, inaczej niż w innych zawodach sportowych, wygrywają wszyscy.
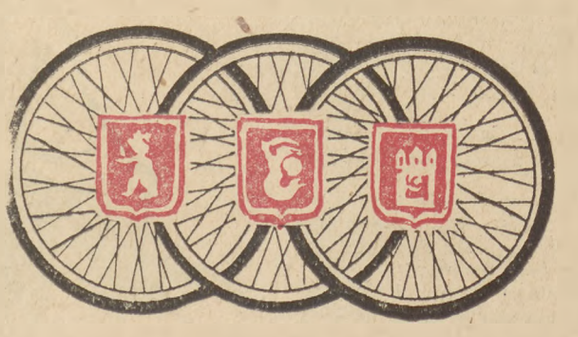
M. W.